NR 33 (1957) 18 SIERPNIA 2026

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

35 LAT



Proj. Krzysztof Karnkowski

KRAKÓW – polskie Detroit

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- SOLIDARNOŚĆ WZNAWIA ZBIÓRKĘ PODPISÓW POD WNIOSKIEM O REFERENDUM KLIMATYCZNE

K K



POZNAJ HISTORIĘ SOLIDARNOŚCI

ODWIEDŹ MIEJSCE JEJ NARODZIN

WYCIECZKI PO SALI BHP Z PRZEWODNIKIEM

SALA BHP SALABHP.PL

eprasa.pl 33022f5d4b



Rafał Woś
REDAKTOR NACZELNY

To, co dzieje się dziś w Krakowie, może się okazać czymś więcej niż zwykłą wymianą prezydenta. Może być momentem, w którym pękła pewna polityczna umowa. Umowa, według której mieszkańcy mają być tylko dodatkiem do swojego miasta, a ono samo – produktem do sprzedania turystom i deweloperom.

Jej sedno nie dotyczy przecież tylko tego, kto i jak zarządza miastem. Dotyczy także tego, czym Kraków właściwie ma być. Najlepszym symbolem tego sporu jest historia miejsca przy ulicy Pomorskiej. Budynku, w którym podczas okupacji mieściły się areszt i katownia Gestapo, a w którym za sprawą Aleksandra Miszalskiego funkcjonował turystyczny hostel.

Można powiedzieć: biznes jak każdy inny, prawa rynku. I właśnie o to chodzi. Bo w Krakowie od dawna ścierają się dwie logiki. Pierwsza mówi: skoro można na czymś szybko zarobić, nie należy się na nic oglądać. Druga przypomina, że na prostym handlowym rachunku świat się nie kończy. Zwłaszcza w mieście, które nie jest zwykłą nieruchomością z atrakcyjnym adresem.

Ten spór nie zaczął się jednak wraz z Miszalskim. Kraków po 1989 roku stał się jednym z laboratoriów polskiego realnego kapitalizmu. Deindustrializacja, globalizacja, podporządkowanie lokalnej gospodarki usługom i turystyce – wszystko to sprawiło, że stare zakłady znikały, mieszkania drożały, a centrum coraz bardziej przypominało scenografię dla przyjezdnych.

I znów można powiedzieć: przecież to sukces. Kraków jest znany na całym świecie, przyjeżdżają turyści, powstają hotele i restauracje, inwestują zagraniczne firmy. Tylko że miasto, które radzi sobie jako produkt, niekoniecznie równie dobrze nadaje się na miejsce do życia.

A staje się to jeszcze trudniejsze, gdy do walca kapitalistycznego dołączy walec klimatyczny. Kolejne pomysły na to, jak mieszkańcy mają się poruszać, czym ogrzewać domy, gdzie parkować i jak korzystać z własnego miasta, przedstawiano jako element nieuchronnej modernizacji.

W Krakowie od dawna ścierają się dwie logiki. Pierwsza mówi: skoro można na czymś szybko zarobić, nie należy się na nic oglądać. Druga przypomina, że na prostym handlowym rachunku świat się nie kończy. Zwłaszcza w mieście, które nie jest zwykłą nieruchomością z atrakcyjnym adresem.

Krakowienie zaczęli jednak odkrywać, jak spycha się ich na coraz dalszy plan. Dlatego bunt przeciwko Miszalskiemu nie musi być wyłącznie lokalną awanturą. Może być próbą odzyskania miasta przez ludzi, którzy w nim mieszkają, i przypomnienia, że nie jest ono wyłącznie towarem. Jest pamięcią, kulturą, historią i przestrzenią do życia. I być może właśnie o to chodziło w tym całym buncie. S

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**



eprasa.pl 33022f5d4b

18.08.2026
WYDANIE Nr
33

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA



Kraków – polskie Detroit

6 **Bunt w gasnącym mieście**

12 **Kraków jako turystyczna perła Polski**

16 **Legenda o stolicy kultury**

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

List otwarty do Adama Michnika 20

KRAJ

Konstytucja albo śmierć dla spółek Skarbu Państwa 22

„Razemki” odkrywają patriotyzm 26

Zmiana w polityce UE jest nieunikniona. Rozmowa z Z. Berdychowskim 30

Solidarność wznawia zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum klimatyczne 34

ZAGRANICA

Pokój czy kontrola? Spór o przyszłość cieśniny Ormuz po amerykańskiej wojnie z Iranem 40

RELIGIA

Grzech pierworodny. Jak Dolina Krzemowa kupuje watykański odpust 46

KULTURA

Mistrz fortepianu – Ignacy Jan Paderewski 52

Mój koncert to czas spotkania z ludźmi. Rozmowa z A. Krzysztoń 56

Nawrocki na literackich ścieżkach 58

Sceny z (po)życia małżeńskiego 62

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68

Układy zbiorowe warunkiem przy zamówieniach publicznych. Rozmowa z G. Pietrzykowskim 70

FELIETONY:

OKRASKA 5

GAC 11

SKWIECIŃSKI 45

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 33

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 36

KARUZELA Z BLOGERAMI 39

Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 51

GŁOS REGIONU 67

PRAWO 73

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Michał Ossowski

Członek Zarządu: Wojciech Kwidziński

Redaktor naczelny: Rafał Woś
r.wos@tygodniksolidarnosc.com

Zastępca redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Krzysztof Karnkowski, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Ludwik Pęzioł, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Barbara Andrijanić, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Andrzej Gajcy, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Jarosław Jakubowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Patryk Stanik, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności,
ul. Wały Piastowskie 24, pok. 327,
80-855 Gdańsk
nr konta: mBank S.A.
44 1140 1065 0000 7461 0100 1001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 33022f5d4b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Remigiusz Okraska

Rząd z brzytwą

Ganiają po Polsce z brzytwą i tną bez umiaru. Etaty. Rządowi liberalno-lewicowemu udało się doprowadzić do wzrostu bezrobocia w okresie, gdy zwykle ono maleje.

Bezrobocie wyniosło w lipcu 5,9% wobec 5,8% w czerwcu. W ciągu miesiąca przybyło niemal 6000 osób bez pracy.

Przybyło, choć powinno ubywać. Nie trzeba w tym celu nic robić. Samo się robi.

Lato to czas prac sezonowych. W rolnictwie, budownictwie i wszelkich pracach inwestycyjnych, których wykonywaniu sprzyjają dobra pogoda i suchsza pora roku.

A przede wszystkim w turystyce, rekreacji i wypoczynku. Przy sezonowej obsłudze milionów ludzi ruszających na wyjazdy wakacyjne i urlopowe. To mnóstwo dodatkowych potrzeb, zajęć, wydatków. Zarabiania jednych na odpoczywaniu innych.

Zawsze latem przybywało pracy. Nawet osoby mające kłopoty z jej znalezieniem mogły się nająć do dorywczych zajęć.

Rok 2023 to 5,1% bezrobocia w czerwcu i 5% w lipcu. Odpowiednio 6 i 5,9% w 2021 r. W 2019 r. z kolei 5,3 i 5,2%. Nie było za rządów PiS ani jednego roku, gdy bezrobocie między lipcem a czerwcem wzrosło. Ostatnia taka sytuacja zaistniała w 2009 r. Jednak nawet za poprzednich rządów PO zdarzyła się tylko raz.

„Ale to już było i nie wróci więcej" – chciałoby się zacytować znany przebój. Za obecnych rządów wszystko się posypało. Już w 2024 r. był wzrost bezrobocia między czerwcem a lipcem. W 2025 r. też, w dodatku spory. Wtedy tłumaczono to pokrętnie zmianą zasad rejestrowania w urzędach pracy.

Dziś już nie mają się czym tłumaczyć. Mamy kolejny przypadek wzrostu bezrobocia latem. Jak oni to robią?

To po prostu „polityka przemysłowa" liberałów, czyli jej brak. W efekcie mamy w ciągu roku wzrost wskaźnika bezrobocia z 5,4 do 5,9%. W ujęciu liczbowym między lipcem obecnego a zeszłego roku przybyło 77 tysięcy osób bez pracy. Między ostatnim lipcem pod rządami PiS a lipcem 2026 r. jest to wzrost liczby bezrobotnych o 125 tysięcy.

To wszystko w czasach, gdy naprawdę grube pieniądze trafiły do gospodarki w ramach programów KPO i SAFE. Gdzie one są? Zapewne w głębokich kieszeniach tłustych kotów. Bo wpompowanie takiej forsy w gospodarkę powinno szybko zbijać bezrobocie. Nawet gdyby wydać te pieniądze na kopanie dołów, a następnie zasypywanie ich.

W dodatku każdego miesiąca odchodzą na emerytury osoby urodzone w rocznikach wyżów demograficznych. Zastępują ich na rynku pracy młodzi z lat, gdy dzieci rodziło się znacznie mniej. Nawet bez rozwoju, przy samym tylko utrzymaniu dotychczasowych miejsc pracy, bezrobocie powinno szybko maleć.

Tymczasem ubywa miejsc pracy. Tylko w ciągu roku liczba etatów w przemyśle motoryzacyjnym zmalała o 4%. Podobnie z meblarstwem i przemysłem drzewnym. I z branżą tekstylną. A nawet z nowoczesnym sektorem IT. I innymi. Za to wzrost skali rejestrowania się w urzędach pracy osób zwolnionych z przyczyn leżących po stronie zatrudniającego wyniósł wiosną aż 11% rok do roku.

Gdy po Polsce grasuje rząd z brzytwą, nikt nie powinien czuć się bezpieczny. Każdy etat mogą wyciąć. Dwoma lewymi liberalnymi rękami.

eprasa.pl 33022f5d4b

Temat Tygodnia

BUNT

w gasnącym mieście



Ta historia nie zaczęła się w chwili rozpoczęcia zbiórki podpisów pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum w sprawie odwołania Aleksandra Miszalskiego z funkcji prezydenta Krakowa. Nie zaczęła się też w chwili jego powołania. Więc kiedy? Być może gdzieś w pierwszych latach III RP, na bogatych balach charytatywnych z udziałem władz i elit miasta. Może dawniej. Potem **obrastała w nowe wątki i opowieści** przez ponad dwie dekady rządów Jacka Majchrowskiego i nie poszła wcale z dymem wraz z nowoczesnym archiwum miejskim w lutym 2021 r. Historia miasta zarazem reprezentacyjnego i gasnącego.

Krzysztof Karnkowski

eprasa.pl 33022f5d4b



Proj. autor

Może tak miało być? Kraków to nie tylko gród Kraka i Smoka Wawelskiego, lecz także, trochę później, burmistrza Erazma Czeczotki. A choć i smoczej żarłoczności – symbolicznie oczywiście – można dopatrywać się u wielu przedstawicieli miejskich elit, to chyba właśnie dawny burmistrz jest dla wielu pewnym, źle rozumianym wzorem. Cofnijmy się więc aż kilkaset lat, by lepiej zrozumieć to, co działo się później i dzieje się do dziś. Erazm Czeczotka-Tłokiński należał do władz Krakowa nieprzerwanie od 1547 do 1587 r., a funkcję burmistrza pełnił szesnastokrotnie. Zgromadził ogromny majątek, korzystając m.in. z miejskich dzierżaw (dzierżawił na przykład miejską wagę, by znajdować poddzierżawcę już za dziesięciokrotność pierwotnej kwoty), kramów i jatek. Zarzucano mu fałszowanie rachunków, udzielanie sobie pożyczek z publicznej kasy i przywłaszczanie środków przeznaczonych na sieroty; skargi ówczesnych mu mieszkańców Krakowa Stefana Hallera i Marcina Urbanowicza obejmowały łącznie około 50 zarzutów. Jako zarządca szpitala św. Rocha ograniczał wydatki na utrzymanie ubogich. W 1567 r. doprowadził też do nielegalnego procesu i stracenia magistra Akademii Krakowskiej Franciszka Wolskiego, co wywołało rozruchy studentów. Kościelna wizytacja z 1568 r. potwierdziła ponadto, że utrzymywał kilka nałożnic i urządził w domu

eprasa.pl 33022f5d4b

łaźnię, w której spotykał się z prostytutkami. Pewne tradycje do dziś mają się dobrze, a przecież Kraków uchodzi za na swój sposób konserwatywny. Nic więc dziwnego, że niedawno w barwny sposób postać burmistrza Czeczotki przypominał Rynek Krowoderski, jeden z kilku kanałów na YouTubie zajmujący się dość intensywnie całkiem współczesną polityką lokalną Stołecznego Królewskiego Miasta Kraków.

ZARZUCANO ERAZMOWI CZECZOTCE FAŁSZOWANIE RACHUNKÓW, UDZIELANIE SOBIE POŻYCZEK Z PUBLICZNEJ KASY I PRZYWŁASZCZANIE ŚRODKÓW PRZEZNACZONYCH NA SIEROTY.

Kolejne stadia choroby

Przenieśmy się do czasów bardziej współczesnych. Po upadku PRL było oczywiste, że miasto czekają zmiany. Padały lub kurczyły się wielkie zakłady pracy, w tym huta, wokół której powstała przecież cała potężna dzielnica, administracyjnie – pięć dzielnic Krakowa. Dawne tereny przemysłowe coraz częściej przejmowały handel, biura, mieszkania i usługi: fabryki znikały, a w ich miejscu powstawały galerie handlowe, osiedla i apartamentowce. Kraków przesuwał się więc od miasta przemysłowo-usługowego w stronę gospodarki opartej na usługach, turystyce, nowych technologiach i rynku nieruchomości. Skutkiem była nie tylko zmiana krajobrazu miasta, lecz także utrata wielu stabilnych, robotniczych miejsc pracy i stopniowe zatarcie przemysłowej tożsamości całych dzielnic. Początkowo mogło dawać to nawet ciekawe efekty: rewitalizacja przestrzeni, którą zaczęły zajmować gastronomia czy inicjatywy kulturalne. Na tym jednak ten miejski płodozmian się nie kończy, po jakimś czasie na tereny pozostałe po dawnych zakładach kosmetycznych Miraculum wchodzą deweloperzy, drobni najemcy znikają i rusza wielka budowa. Z dawnej tkanki miasta nie zostaje wiele, zagrożone są nawet te jej kawałki, które chroni w teorii konserwator zabytków. Lata dziesiąte obecnego wieku to też kronika wyprowadzek rozmaitych lokali artystycznych w okolice dalsze od krakowskiego Starego Miasta. W 2018 roku kino ARS musiało ustąpić miejsca hotelowi, rok później podobny los spotkał klub „Bomba". „Stare Miasto zmienia swój charakter; traci przyjazny dla mieszkańców status i staje się turystycznym Disneylandem. Procesom gentryfikacyjnym nie oparła się «Bomba», w jej miejsce powstanie hotel" – żegnali się na Facebooku właściciele. W 2020 roku cały kompleks lokali, działających na terenie dawnych zakładów tytoniowych, musiał ustąpić deweloperce.

Z DAWNEJ TKANKI MIASTA NIE ZOSTAJE WIELE, ZAGROŻONE SĄ NAWET TE JEJ KAWAŁKI, KTÓRE CHRONI W TEORII KONSERWATOR ZABYTKÓW.

Ciemno i pusto

2020 był w pewnym sensie rokiem przełomowym, choć przełom ten nie był trwały, a jedynie na chwilę zawiesił pewne procesy. Rok wcześniej Kraków odwiedziło ponad 14 mln osób, które zostawiły 7,5 mld zł, a Balice obsłużyły ponad 8 mln pasażerów. Lockdown uczynił miasto pustym. Pustym tym bardziej, że już od kilku lat turyści, a więc hotele, hostele i najem krótkoterminowy, zaczęły wypychać mieszkańców z tradycyjnych lokalizacji. Mieszkania stawały się inwestycjami, w kamienicach zostawali jedynie nieliczni, zdani na łaskę nad wyraz rozrywkowych przybyszy, obojętnych właścicieli i bezsilnej policji. „[...] wysyp barów z wódką za 4 zł i szemranych lokali ze striptizem, znikają ambitniejsze propozycje i lokale o unikatowym charakterze. O skali przemian niech świadczy fakt, że od 2004 roku liczba mieszkańców Dzielnicy I Stare Miasto spadła z 49 do 30 tys. Mieszkańcy uciekają, a Krakowianie z dalszych dzielnic coraz częściej nie mają czego tu szukać" – pisał Wojciech Mucha w „Gazecie Polskiej", zwracając uwagę, że gdy nagle turystów zabrakło, znane lokale

eprasa.pl 33022f5d4b

musiały zacząć organizować zbiórki na przetrwanie, a firmy hotelowe organizować tak absurdalne działania, jak wynajem mieszkań na kwarantannę czy wyjazdy na podmiejskie zakupy. Mucha nie poprzestał na pisaniu, zrealizował też dla TVP film dokumentalny. Podczas zdjęć, gdy wynajmował kolejne mieszkania w centrum miasta, bywał jedynym człowiekiem w całej kamienicy, a poczucie samotności potęgowała decyzja władz o częściowym zaciemnieniu całkowicie pustych ulic. „Wirus odsłonił poważną chorobę trawiącą nasze miasto. Masową turystykę, która na trwałe zmieniła i wciąż, pomimo tego że chwilowo nie ma tu turystów, zmienia charakter Krakowa. Oto okazało się, że na Rynku Głównym ze stałych mieszkańców zostały już tylko gołębie, dla których nie opłaca się nawet iluminować naszego dziedzictwa – Sukiennic, Kościoła Mariackiego, Ratusza” – komentował Mucha, cytowany przez portal Nasz Kraków.

Krótki lot Miszalskiego

Wymieniliśmy więc duże, łączące się ze sobą i następujące po sobie lub równolegle problemy – deindustrializację, gentryfikację i turystyfikację miasta. Dzielnice, otaczające coraz bardziej obce centrum, mają też inne problemy. O zaskakująco dużej utracie miejsc pracy w Krakowie pisaliśmy kilkukrotnie, po przemyśle przyszła pora na nowe zawody, w tym branżę IT. Miasto ma też problemy komunikacyjne. Pomysły na metro zmieniają się od 2014 roku, gdy mieszkańcy poparli jego budowę w referendum, i przez ciągłe zmiany wciąż zostają one pomysłami.

LOCKDOWN UCZYNIŁ MIASTO PUSTYM. WCZEŚNIEJ INFRASTRUKTURA DLA TURYSTÓW ZACZĘŁA WYPYCHAĆ MIESZKAŃCÓW Z TRADYCYJNYCH LOKALIZACJI.

Jacek Majchrowski chciał zbudować metro w dużym stopniu naziemne, Aleksander Miszalski – podziemne, metra jak na razie nie ma. Sieć tramwajowa, co prawda, się rozbudowuje, ale też znacznie poniżej potrzeb i założeń, a są osiedla, które na swój tramwaj czekają już kilkadziesiąt lat. Skoro jednak pojawiły się nazwiska dwóch prezydentów, wróćmy do polityki. Koniec Majchrowskiego był końcem pewnej epoki, ale nie był na pewno końcem krakowskiego układu. Ten przed zmianą bronił się bardzo skutecznie, a krakowska kampania, opisywana między innymi w książce Wojciecha Muchy i Andrzeja Gajcego, była szalenie brutalna. Pomimo tego różnica między ostatecznie wygranym Miszalskim a walczącym z nim Łukaszem Gibałą była symboliczna, wyniosła niewiele ponad 5 tysięcy głosów. Aleksander Miszalski wszedł wiec do magistratu ze słabym mandatem, za mało „krakowski”, zbyt młody, za to otoczony ludźmi z lokalnego świata polityki, wobec których od razu zaczął spłacać swoje długi. Dziwne nominacje i zaskakujące przebiegi konkursów stają się nową codziennością i prowadzą do popularyzacji określenia „epidemia kolesiostwa”, za którymi idą happeningi i coraz ostrzejsza konfrontacja miejskich aktywistów i niezależnych mediów z władzą. W czerwcu 2025 roku władze uchwalają wyjątkowo niekorzystne dla mieszkańców zasady i granice funkcjonowania Strefy Czystego Transportu. Podnoszą opłaty za wywóz śmieci, a następnie ceny biletów lokalnej komunikacji. Mieszkańcy zaczynają mieć dość, narasta bunt. Gdy SCT wchodzi w życie, rejestrują inicjatywę referendalną. Zbiórka podpisów idzie nieźle, co sprawia, że Miszalski rewiduje część decyzji. Równocześnie jednak pomysłodawcy akcji są brutalnie atakowani przez internetową propagandę KO. Jednak gdy profile w rodzaju Soku z Buraka oskarżają ich o zło całego świata, a elity zniechęcają ludzi do aktywności, przynosi to odwrotne skutki. Referendum udaje się – co w tak dużych miastach jest rzadkością – Aleksander Miszalski odchodzi. Wszystko to zdążyliśmy już opisać. Jednak historia dalej nie potoczyła się tak, jak potoczyć się powinna.

TYMCZASEM, WBREW WOLI MIESZKAŃCÓW, KRAKOWEM RZĄDZI TA SAMA EKIPA.

Układ ma się dobrze

Komisarzem mającym rządzić Krakowem w czasie bezkrólewia zostaje wiceprezydent i zastępca

eprasa.pl 33022f5d4b

Miszalskiego Stanisław Kracik. Kracik to wieloletni działacz Platformy, wcześniej Unii Wolności, do tego wieloletni wojewoda małopolski, a więc człowiek z samego serca układu. Rusza giełda nazwisk, czasem mocnych, czasem absurdalnych – obok Łukasza Gibały i reprezentujących poszczególne partie takich kandydatów, jak Bartosz Bocheńczak (Konfederacja), Łukasz Drewnicki (PiS) i Aleksandra Owca (Razem), pojawiają się celebrytka Marianna Schreiber czy były szef NIK Marian Banaś. KO reprezentować ma startująca bez jej szyldu Monika Piątkowska, dziś senator Koalicji Obywatelskiej. Wszystko jest więc normalnie (prawie), zaczyna się kampania. Choć referendum odbyło się 24 maja, ogłoszenie terminu nowych wyborów było odwlekane z użyciem prawniczych sztuczek. Wszystko wskutek działań mocno związanego z elitami Krakowa szefa lokalnego KOD Edwarda Nowaka, który najpierw złożył protest, a następnie do ostatniej chwili odwlekał złożenie zażalenia, czym przeciągał procedury. Jedni mówili, że zdobywa w ten sposób czas dla słabej sondażowo Piątkowskiej, drudzy, że dla pilnującego odpowiednich spraw w ratuszu Kracika. Sąd Apelacyjny ostatecznie potwierdził ważność referendum dopiero po dwóch miesiącach. Głosowanie odbędzie się 27 września 2026 r., od godz. 7 do 21. Kampania zakończy się 25 września o północy. Kandydatów można formalnie zgłaszać do 3 września. Tymczasem, wbrew woli mieszkańców, miastem rządzi ta sama ekipa – wiceprezydent Miszalskiego jako komisarz i nieodwołana wskutek zbyt niskiej tym razem frekwencji rada miasta. Tym samym układ niby przegrał, a jednak się wybronił i tylko Aleksander Miszalski został wypchnięty z sanek przez Donalda Tuska. Do wyborów coraz mniej czasu, na pewno należy spodziewać się brutalnego finiszu kampanii, a później – być może – kwestionowania wyników.

KOMISARZEM MAJĄCYM RZĄDZIĆ KRAKOWEM W CZASIE BEZKRÓLEWIA ZOSTAJE WICEPREZYDENT I ZASTĘPCA MISZALSKIEGO STANISŁAW KRACIK. KRACIK TO WIELOLETNI DZIAŁACZ PLATFORMY.

Warszawa patrzy na Kraków

Na koniec przenieśmy się do Warszawy. W obecnej stolicy, niewątpliwie inspirując się wydarzeniami z Krakowa, zaczęli działać zwolennicy odwołania Rafała Trzaskowskiego. Na razie trwa zbiórka podpisów, w której główną rolę odgrywają osoby związane z inicjatywą „Tak dla CPK" i – na poziomie ulic – sympatyków opozycji. Jak dotąd idzie im nieźle, ale brakuje kilku elementów znanych z Krakowa. Nie ma tu oddolnej, spontanicznej obudowy medialnej, którą tam zapewniły kanały internetowe, w tym wspomniany Rynek Krowoderski czy organizujący częste debaty pod hasłem „Raport z miasta referendum" W Sumie Wiadomo. Nie było też długiego budowania nastroju ani poprzedzających start akcji happeningów. Na plus uznać należy odwołanie do afery Szpitala Południowego obecne w samej nazwie inicjatywy: Stołeczna Operacja Referendalna (SOR). Dobrym pomysłem jest eksponowanie kwestii utrudnień dla kierowców, w tej grupie znajdziemy najwięcej niezadowolonych z przyczyn niezależnych od politycznych identyfikacji. Brak jednak choćby potencjalnego mocnego kandydata będącego alternatywą dla Trzaskowskiego. Warszawa nie ma swojego Gibały, choć być może mogłaby go mieć w postaci Jana Śpiewaka. Jednak jego pozycja wydaje się słabsza. Oczywiście na działania te należy patrzeć z sympatią, jednak szanse należy oceniać realistycznie. Przed warszawskimi zwolennikami zmiany jeszcze wiele pracy.

CHOĆ REFERENDUM ODBYŁO SIĘ 24 MAJA, OGŁOSZENIE TERMINU NOWYCH WYBORÓW ODWLEKANO Z UŻYCIEM PRAWNICZYCH SZTUCZEK.

eprasa.pl 33022f5d4b

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ



Karol Gac

Rok łamania schematów

22 inicjatywy ustawodawcze, 255 ustaw podpisanych i 41 zawetowanych – to bilans pierwszego roku prezydentury Karola Nawrockiego. Jeśli jednak miałbym się pokusić o ogólną ocenę tego okresu, to uważam, że upłynął on pod znakiem łamania dotychczasowych schematów i wytyczania własnej wizji urzędu.

W sierpniu 2025 roku wielu zastanawiało się, jaka to będzie prezydentura. Chociaż Karol Nawrocki dał się nieco poznać w kampanii wyborczej, to jednak wciąż pojawiały się znaki zapytania. Zwłaszcza że przyszła głowa państwa dopiero uczyła się polityki, choć trzeba jednocześnie dodać, że robiła to piekielnie szybko i skutecznie.

To, co rzuca się od razu w oczy, to naturalność Karola Nawrockiego. Prezydent autentycznie szuka kontaktu z Polakami, czemu daje wyraz niemal przy każdej okazji. Ci zaś widzą, że nie jest to reżyserowane, a szczere, w efekcie czego Karol Nawrocki po roku urzędowania pozostaje jednym z najpopularniejszych polityków w Polsce, a w kolejnych badaniach zajmuje pierwsze miejsce w rankingach zaufania.

Być może to jest właśnie jedna z najważniejszych tajemnic pierwszego roku tej prezydentury. Karol Nawrocki łamie bowiem kilka utrwalonych schematów. Nie próbuje być politykiem środka za wszelką cenę i nie zachowuje się tak, jakby najważniejszym celem było unikanie konfliktów i podpisywanie wszystkiego, co trafia na jego biurko. Wręcz przeciwnie. Prezydent stara się spełniać oczekiwania wyborców prawicy, którym zależy na blokowaniu szkodliwych pomysłów rządu.

To także ważna zmiana z punktu widzenia ustrojowego. W Polsce przez lata trwała bowiem dyskusja, jaką politykę powinien prowadzić prezydent. Wydaje się jednak, że urząd ten kształtują przede wszystkim osoby, które go piastują. Karol Nawrocki również idzie tą drogą – stara się nie trzymać utartych ścieżek, lecz wytycza własne.

Warunki kohabitacji sprawiają, że kształtuje się w nich polityczna pozycja prezydenta wykraczająca poza sam urząd. Po pierwszym roku Karol Nawrocki coraz wyraźniej staje się jednym z punktów odniesienia całej polskiej prawicy. Chodzi przede wszystkim o zdolność skupiania wokół siebie wyborców różnych nurtów prawicy.

Po pierwszym roku widać, że Karol Nawrocki nie okazał się prezydentem przejściowym ani politykiem wyniesionym do Pałacu wyłącznie siłą partyjnego zaplecza. Zbudował własną rozpoznawalność, zachował wysokie zaufanie społeczne i usamodzielnił swój urząd. Najciekawsze pytanie dotyczy więc nie tego, jaki był pierwszy rok Nawrockiego, lecz tego, dokąd ta prezydentura może go doprowadzić.

Jeżeli Karol Nawrocki utrzyma popularność, zachowa własną polityczną tożsamość i nie pozwoli zamknąć się w roli wykonawcy poleceń którejkolwiek partii, to może w ciągu najbliższych lat stać się naturalnym punktem odniesienia dla znacznej części wyborców prawicy. To tyle ciekawe, że na ogół Pałac Prezydencki kojarzył się z metą politycznej kariery. Tymczasem w przypadku Karola Nawrockiego może być odwrotnie.

eprasa.pl 33022f5d4b

Kraków jako turystyczna perła Polski

Nie jest tajemnicą, że turystyka staje się coraz bardziej masowa. Nie organizujemy wypraw, lecz planujemy atrakcje, nie zbieramy zapasów strawy, lecz rekomendacje gastronomiczne, a to, co niegdyś uchodziło za podróż życia, dziś może być na wyciągnięcie ręki. Czasy się zmieniają i my w nich, a upowszechnienie wypoczynku poza miastem rodzinnym co do zasady niesie zdecydowanie więcej plusów niż minusów. Zmieniła się także Polska, która dziś jest nowoczesnym państwem, z punktu widzenia turysty **w niczym nieustępującym innym krajom Europy**. Nie ma nic złego w możliwości zwiedzenia połowy świata, a sama turystyka dla wielu regionów globu okazała się dochodowym biznesem. Jednak jest też ona mieczem obusiecznym. I to właśnie nadmierna turystyka dolewa oliwy do ognia krakowskich problemów.

Hanna Szymerska

Kraków jest najczęściej odwiedzanym miastem w Polsce, które w zestawieniach prześciga nawet Warszawę i dosyć atrakcyjne Pomorze Gdańskie, Wrocław oraz Poznań. W 2025 r. miasto odwiedziło 16,25 mln turystów. Przybywali z innych części kraju, z Wielkiej Brytanii, z Niemiec, Hiszpanii, Francji, Szwecji i w zasadzie całego świata. Miasto stołeczne oraz królewskie znajduje się w ścisłej czołówce najchętniej odwiedzanych w Europie Środkowej, plasując się praktycznie na równi z Budapesztem (około 19 mln turystów, a mówimy tu o węźle przesiadkowym i stolicy państwa), wyprzedzając Berlin (12,5 mln) i prawie dwukrotnie przebijając Pragę (około 8,2 mln zwiedzających). Lotnisko Kraków-Balice, skądinąd dosyć przyjazne dla pasażera, mając na uwadze podwyższony limit płynów w bagażu podręcznym do 2 l na osobę oraz niewielką odległość od miasta, bije kolejne rekordy w ruchu pasażerskim. Stale



Fot. Adobe Stock

też rośnie siatka połączeń międzynarodowych. Trasa pociągu Warszawa – Kraków to najbardziej oblegana w kraju linia, a miejmy na uwadze też inne połączenia. Stolica Małopolski jest istotnym węzłem kolejowym zarówno dla mieszkańców województwa, jak i turystów – wszak stąd dojedziemy do Kopalni Soli w Wieliczce, do Oświęcimia czy Zakopanego; nie wspominając już o pociągach i autobusach jadących na wschód, w stronę przygranicznego Przemyśla. Nie należy się dziwić, że w Krakowie jest ciągły ruch. Miasto jest punktem obowiązkowym dla każdego historyka przez wzgląd na swój dawny charakter, dzielnica żydowska przykuwa uwagę izraelskich turystów szukających śladów swoich przodków, a lokale w centrum oferują wiele możliwości spragnionym dobrej zabawy. A jeśli komuś w Krakowie nudno, to w razie czego może go potraktować jako dobrą bazę wypadową. Zyski z turystyki w mieście wciąż rosną, 15,4 mld zł to nie są małe pieniądze. Ale wszystko ma swoją cenę.

Reprywatyzacja, gentryfikacja, długi cień lat 90.

Na początku był chaos i transformacja. Z niego wyłoniła się reprywatyzacja krakowskich kamienic, która chociaż zdecydowanie różniła się od sytuacji z obecnej stolicy, pozostawała siłą równie nieokiełznaną, niejasną i koszmarną w konsekwencjach. Początek lat 90. to w Krakowie czas szarych, zaniedbanych kamienic o nieuregulowanym statusie prawnym. Było ich około 600, część z nich służyła celom publicznym, niewielka część nie doczekała się uregulowania go aż do dzisiaj.
W owym czasie, jak powszechnie wiadomo, chaos nie ograniczał się do Krakowa. Macki afer reprywatyzacyjnych w Krakowie rozciągnęły się na obszar całego kraju. Za pomocą sfałszowanych dokumentów (np. na przypadkowe osoby o tym samym nazwisku, co wcześniejsi właściciele), spreparowanych testamentów i rzekomych pełnomocnictw różni oszuści starali się przejmować krakowskie kamienice, zwłaszcza te, w których niegdyś mieszkała społeczność żydowska. „Odzyskane" nielegalnymi metodami i nierzadko przemocą lokale później sprzedawano, a w proceder na pewnym etapie wmieszała się nawet pruszkowska mafia. Szacuje się, że wypędzono około 70–100 tys. lokatorów. I chociaż dosyć szybko aparat sprawiedliwości zainteresował się tym procederem, mleko się rozlało. Wiele kamienic podzieliło los swoich zagranicznych krewnych z centrów miast, stając się odartym z mieszkańców przybytkiem typu Airbnb, ewentualnie pawilonem dla sklepów z pamiątkami i zagranicznych sieci gastronomicznych. Aby zobrazować skalę wymierania centrum miasta, należy sobie uświadomić, że w historycznym centrum Krakowa mieszka jedynie około 2600 osób. W całej dzielnicy I, czyli obejmującej również takie obszary jak Wawel czy Stradom, to około 27 tys. osób. Jeszcze niedawno było to 40 tys. mieszkańców (2011 r.). Poza przypadkami dzikiej reprywatyzacji stolica Małopolski nękana jest również przez widmo gentryfikacji i prywatyzacji. Te również żerują za pomocą branży turystycznej, której macki sięgają coraz dalej po lokale mające posłużyć jako Airbnb. Tendencja dociera na bardziej oddalone od centrum



Grzegórzki, a nawet na Nową Hutę. Oczywiste jest, że tracą na tym nie tylko mieszkańcy, lecz również sam w sobie klimat miasta. Za sprawą takich działań Krakowiacy stracili kultowe kino ARS w 2019 r. Właściciel budynku, w którym znajdowała się placówka działająca od 1916 r., postanowił kamienicę wyremontować i przekształcić w luksusowy hotel. Nie pomogły protesty mieszkańców i kinomanów, kina na skrzyżowaniu świętego Jana i świętego Tomasza nikt już im nie przywróci. Teraz toczyła się walka o Kazimierz. W lutym 2026 r. Krakowiacy dowiedzieli się o planach przekształcenia kamienic przy ulicy Józefa i ulicy Bożego Ciała w luksusowy hotel. Stracić na tym mieli lokatorzy, którzy po latach własnoręcznego remontu budynku dostali wypowiedzenia najmu, i lokalne biznesy. Protesty przeciwko planom spółki deweloperskiej Da Silva Haus zdążyły nawet wystraszyć władze miasta. Ale czy skutecznie?

Żyć jak turysta (i dla turystów)

Da się w Krakowie mieszkać rok, dwa, trzy i żyć jak turysta. Jeśli miasto staje się zbyt turystyczne, a my go jeszcze dokładnie nie pojęliśmy – właśnie w ten sposób żyjemy. Jednym są kwestie reprywatyzacji i wszechobecnego Airbnb; jest szansa, że jeśli dopiero co się osiedliliśmy w Krakowie, dotknie nas jedynie hałas imprez najemców i nie będziemy musieli pożegnać się z mieszkaniem, w które włożyliśmy mnóstwo pieniędzy, do którego się przywiązaliśmy. Zaboli nas „jedynie” cena najmu – kto by wynajmował mieszkanie, zwłaszcza matce z dzieckiem, jeśli może je podzielić na pokoje i zorganizować noclegownię dla turystów? Problem jest jednak dużo głębszy niż mieszkania. Kraków jest tak skonstruowany, że w promieniu dwóch kilometrów od siebie są „miejsca turystyczne” takie jak Rynek, Kościół Mariacki, Muzeum Narodowe czy Sukiennice, istotny węzeł komunikacyjny (Dworzec Główny oraz Dworzec Autobusowy) oraz instytucje edukacyjne (główne budynki Uniwersytetu Jagiellońskiego, między innymi Wydział Prawa i Administracji, Wydział Historii oraz Wydział Filologiczny; Akademia Górniczo-Hutnicza, Akademia Sztuk Teatralnych oraz licea i technikum; wokół nich są także niektóre akademiki). Kondensacja tych trzech rodzajów placówek na w miarę zbitym obszarze, przez który każdy przechodzi piechotą, nie jest korzystna dla studentów i mieszkańców. W zasadzie w centrum Krakowa, o ile nie zna się dobrze miasta i nie wykupi się karnetu na stołówkę w Domu Studenckim Żaczek, nie jest tak łatwo znaleźć sobie opcję gastronomiczną. Są co prawda dwa bary mleczne obok Wydziału Filologicznego UJ, ale im dalej w stronę ścisłego centrum (a studenci prawa mają zajęcia także na obszarze otoczonym przez Planty), tym trudniej o zdrowe, niedrogie i nieoblegane miejsce. Widzimy kolejne zagraniczne sieciówki fast foodów, stoiska z obwarzankami i kawiarnie, ale jest coraz mniej restauracji i bistro stojących w Krakowie od lat. Ma to też swoje konsekwencje w samej strukturze zatrudnienia. Centrum miasta ulega pewnej pełzającej prekaryzacji. Jeśli szukamy pracy w obrębie turystycznych dzielnic (i nie uda nam się zostać przewodnikiem w muzeum), to o ile ją znajdziemy, co też oczywiste nie jest, będzie ona niskopłatna. Wraz z masową turystyką następuje prekaryzacja. Praca w centrum Krakowa to lady sklepów pamiątkowych, kasy fast foodów i kilka franczyz. W żadnym z tych miejsc pracownik nie zarobi sporo więcej niż minimalna krajowa, w dodatku nierzadko wymagają one pracy konkretnie w dni wolne od pracy, i to na śmieciówce. Dochodzą do tego „naciągacze” – niektórzy młodzi są skazani na stanie i „naganianie” turystów do wątpliwej jakości atrakcji czy lokali. A co, jak późno wracają z pracy? W Krakowie obowiązuje nocna prohibicja, ale obowiązuje ona w sklepach. Pomijając fakt, iż straciły na niej mniejsze biznesy, a zyskały większe koncerny i bary – alkoholu dalej można się napić, ale w pubach i klubach nocnych. Lobby gastronomiczne trzyma Kraków mocno. Dalej w centrum można odnieść wrażenie, że idzie się przez tłum legendarnych już nietrzeźwych Brytyjczyków z wycieczki na kawalerski. Dalej bywa brudno i głośno. Sceny dantejskie odbywają się cyklicznie co ciepły weekendowy wieczór. A tłum? Pojawia się także w dzień powszedni, zwłaszcza gdy w Krakowie jest

ABY ZOBRAZOWAĆ SKALĘ WYMIERANIA CENTRUM MIASTA, NALEŻY SOBIE UŚWIADOMIĆ, ŻE W HISTORYCZNYM CENTRUM KRAKOWA MIESZKA JEDYNIE OKOŁO 2600 OSÓB.

eprasa.pl 33022f5d4b

remont. A remontów w Mieście Królów mnogo. Spójrzmy na linię tramwajową 20: planowo przejeżdża ona z oddalonego i stosunkowo nowego acz sporego osiedla Mały Płaszów aż do zajezdni Cichy Kącik (gdzie znajduje się centrum sportowe Uniwersytetu Jagiellońskiego). Mija po drodze spore Rondo Grzegórzeckie, przesiadkowe dla mieszkających na Nowej Hucie Rondo Mogilskie, Dworzec Główny z Galerią Krakowską, Uniwersytet Jagielloński i Muzeum Narodowe. Ten tramwaj zawsze jest prawie pełen, a w obecnej sytuacji zmienił trasę i zatrzymuje się około kilometra–półtora od Muzeum Narodowego i budynków UJ, oferując studentom autobusy zastępcze (które również pokonują trochę inną trasę niż linia nr 20). W mieście trwają jeszcze inne remonty, a jedna z ważniejszych ulic, Karmelicka prowadząca do niektórych wydziałów i na Bronowice jest rozkopana. Nie wiadomo też, ile remont potrwa. Pomijam tu fakt podwyżki cen biletów na komunikację miejską. Kończąc wywód o „życiu jak turysta" we własnym mieście, warto zauważyć jedną, fundamentalną różnicę: turystę z Wielkiej Brytanii czy Norwegii co do zasady stać na atrakcje Krakowa i okolic. Bilet wstępu do Wieliczki dla rodziny 2+2 to koszt 360 zł. Przyjemność zwiedzenia całego Wawelu wycenia się na prawie 200 zł dla dorosłego. Zobaczenie własnego miasta bywa wyzwaniem.

KTO BY WYNAJMOWAŁ MIESZKANIE, ZWŁASZCZA MATCE Z DZIECKIEM, JEŚLI MOŻE JE PODZIELIĆ NA POKOJE I ZORGANIZOWAĆ NOCLEGOWNIĘ DLA TURYSTÓW?

Turystyka da się lubić!

Mimo wszystko nie należy skreślać całkowicie turystycznego oblicza Krakowa. Turystyka generuje około 10% dochodów miasta, a i dawna stolica jest świetną wizytówką Polski. Trzeba jednak pomyśleć nad rozwiązaniami problemów, które masowy ruch turystyczny wygenerował. Nie ma tu oczywiście uniwersalnych recept, a łzy wylane nad upadkiem etosu podróżnika niewiele pomogą, niemniej należy naszą rzeczywistość zmieniać. Rozwiązaniem stanowiącym kroplę w morzu problemu cen muzeów mogłoby być wprowadzenie taryfy dla mieszkańców. W ten sposób funkcjonuje wiele instytucji kultury w Indiach (oddzielna taryfa „obywatel Indii" i „posiadacz innego paszportu") czy Muzeum Jana Pawła II w Wadowicach, które co wtorek pozwala mieszkańcom powiatu wadowickiego zwiedzić swoje kolekcje za darmo. Problem z remontami i komunikacją miejską jest bardziej złożony, natomiast na pewno nie pomoże nikomu podniesienie cen kart miejskich. Trudno również o skuteczne ograniczenia najmu krótkoterminowego, niemniej co jakiś czas powraca temat możliwości odmowy mieszkańców w przypadku zapytania o prowadzenie takiej działalności w zamieszkiwanej przez nich kamienicy. Kompetencje odnośnie do zwalczania nadmiernej eksploatacji rynku mieszkaniowego na rzecz działalności hotelarskiej czy Airbnb mogłyby mieć również organy gminne. Istotne jest, by zauważyć, że żaden z tych problemów nie zostanie rozwiązany bez zdecydowanego działania aparatu państwowego: bez patrolów policji i straży miejskiej, bez zwalczania dzikiej reprywatyzacji, bez asertywności wobec inwestorów. Warto też pomyśleć nad tym, co turystę przyciąga do Krakowa. Nie jest to zagraniczny fast food, nie jest to kolejna sieciówka, lecz piękno miasta i jego historia. A nie ma tradycji bez pamiątkowych tablic na kamienicach z czasów, w których Edward Dembowski i Jan Tyssowski przelewali krew za wolność, bez kultowych kawiarni i restauracji, w których wielcy tego świata jedli ulubione ciasta, a przede wszystkim – bez zakochanych w swoim mieście mieszkańców. Taki powinien być Kraków. Dla tych, którzy chcą w nim żyć, i tych, którzy jego prawdziwe oblicze przyjechali oglądać.

DALEJ W CENTRUM MOŻNA ODNIEŚĆ WRAŻENIE, ŻE IDZIE SIĘ PRZEZ TŁUM LEGENDARNYCH JUŻ NIETRZEŹWYCH BRYTYJCZYKÓW Z WYCIECZKI NA KAWALERSKI.

eprasa.pl 33022f5d4b

Legenda o stolicy kultury



Fot. Adobe Stock

Czy artystyczny Kraków to wciąż top of the top w polskiej kulturze? Mnie – od zawsze fance kultury sygnowanej smoczą łapą – od pewnego czasu entuzjazm do tamtejszej oferty opadł. Kiedyś było to miasto krótkich wypadów po haust sztuki najwyższych lotów. Teraz najwięcej szumu robią **awantury o dyrektorskie stołki** w sztandarowych instytucjach sztuki i rozliczanie ich szefów z mobbingu.

Monika Małkowska

Dlaczego w smoczym grodzie kulturalna oferta tąpnęła? Przyczyn jest wiele, ale na pewno najważniejsza z nich to wyprzedawanie krakowskiego centrum pod turystyczne krótkotrwałe wynajmy. To nie jest publiczność o wysokich kulturalnych potrzebach. Ci, którzy odwiedzają Kraków na chybcika, dla „zaliczenia" znanego miasta, nie są zainteresowani jego zwyczajowo powolnym kulturalnym rytmem. Dobra tam, Wawel, Sukiennice, może Dom Matejki albo Dom Mehoffera – i dajcie nam spokój, idziemy się napić. Przyjmijmy jednak, że ktoś zechce zobaczyć, co świątynie wizu-artu mają do zaproponowania w kategorii bieżących dokonań. Przecież kiedyś stąd promieniowały nowe kierunki – od największych mistrzów młodopolskich zaczynając, poprzez Grupę Krakowską, happeningi Tadeusza

eprasa.pl 33022f5d4b

Kantora, aż do formacji „Ładnie". Przypomnę, że tu w 2002 r. zorganizowano rewelacyjny Novart – festiwal młodej sztuki, wielkie przedsięwzięcie zlokalizowane w kilku miejscach, w tym w hali targowej. Byłam tam kilka dni – w ciągu jednego nie dało się wszystkiego obejrzeć. Ależ wtedy pojawiło się wiele znakomitych debiutów! Teraz trudno o oryginalne talenty, jako że twórców poddano ideologicznej młócce, co doprowadziło do ujednolicenia projektów i wystaw jak kraj długi i szeroki.

Było, minęło

W czasach komuny po całej Polsce albo i dalej rozsnuwała się fama o genialnym kabarecie Piwnica pod Baranami (zdarzało się, że Piwniczanie odwiedzali z występami Warszawę – jednakże tylko w ich naturalnej „gawrze" utwory miały niepowtarzalny klimat) i niemniej genialnym Teatrze Starym. Już w liceum dałam się uwieść krakowskiej kulturalnej legendzie. Zarywałam noce, żeby obejrzeć spektakle uznawane za „must see" przez autorytety. Wraz z grupką podobnych zapaleńców przedsiębrałam wyprawy na głośne sztuki reżyserowane przez Jerzego Jarockiego czy Andrzeja Wajdę. Owszem, pociąg był tani dla ucznia lub studenta – jednak na noclegi nie za bardzo było nas stać (no i mama nie pozwalała), więc po przedstawieniu wracało się jakimś nocnym osobowym, telepiącym się od stacyjki do następnej prawie pół doby. No, ale miało się poczucie obcowania z Wielką Sztuką. Co do sztuk wizu – już na studiach podejmowaliśmy z kolegami wyprawy na Międzynarodowe Biennale Grafiki, o których krążyły legendy, że tam udział biorą najlepsi w kategorii tradycyjnej grafiki. MBG zainaugurowało konkursowe przeglądy w 1966 roku; w 1992 zmieniono cykl na trzyletni. Regulamin tego przeglądu był po krakowsku zachowawczy: dopuszczano tylko klasyczne techniki, nawet coś tak „nieszlachetnego" jak sitodruk nie wchodził w grę, nie mówiąc o takiej awangardzie jak komputer. Triennale konało powoli – jakoś około 2015 roku straciło prestiż i dobre miejscówki, a karierę zakończyło w 2024 w Nowohuckim Centrum Kultury. Proszę o minutę ciszy nad poległym gigantem...

Smoczki i heheszki

Ale po co męczyć się z ofertą poważnych przyczółków sztuki – Kraków kokietuje łatwiejszą do zobaczenia i zaliczenia uliczną ofertą, cieszącą turystów od najmłodszych po najstarszych: smoczy szlak, czyli niewielkie figurki „smoczków" wyłaniające się z trotuarów w różnych punktach najbardziej uczęszczanych tras. Kogo nudzi tradycyjne zwiedzanie, może przemierzać gród Kraka, namierzając rozliczne potomstwo ziejącego ogniem gada (rzeźba autorstwa Bronisława Chromego), do tego rozkminiać, jaką profesję/zajęcie symbolizują. Dla wielu te odlane w brązie gadżety to „dzieła sztuki" – zwłaszcza że niektóre projektowali popularni artyści, jak np. Andrzej Mleczko. À propos: od 1982 roku przy ulicy Świętego Jana trwa do dziś Galeria Autorska tegoż rysownika, co podobno jest polskim rekordem długowieczności w kategorii galerii autorskich. Doskonała miejscówka, co zaś do „towaru" – kiedyś był świeższy... Od listopada 2024 roku, momentu odejścia satyryka z redakcji „Polityki" po 45 latach współpracy, to powielanie staroci, czasem wciąż aktualnych. W Mleczkowej galerii goście mogą czasem osobiście spotkać autora, który chętnie składa autografy na dowolnie wybranym obiekcie (z jego sklepu). A to nie byle kto – w 2022 roku Mleczko otrzymał zaszczytny tytuł Honorowego Obywatela Miasta Krakowa, która to godność została oprawiona w imprezę i bankiet godny tradycji prastarego grodu. Bo nie ma jak galicyjska pompa!

Celebry i cmokierstwo

Ponad trzy dekady temu Andrzej Sikorowski z zespołu Pod Budą zadeklarował, żeby broń Boże nie przenosić im, prawdziwej elicie kulturalnej, stolicy do Krakowa. Bo przecież w mieście Kraka sama lokalna aura uwzniośla. „U nas chodzi się z księżycem w butonierce/ U nas wiosną wiersze rodzą się najlepsze/ I odmiennym jakby rytmem/ U nas ludziom bije serce".

Tak właśnie przez całą PRL-owską młodość wyobrażałam sobie Kraków. Jednak z latami topniał mój zachwyt dla wszystkiego, co krakowskie. Zaczął mnie drażnić nadmierny patos wielu utworów, jakaś rzewno-klezmerska niegdysiejszość i nadmierna skłonność

W CZASACH KOMUNY PO CAŁEJ POLSCE ALBO I DALEJ ROZSNUWAŁA SIĘ FAMA O GENIALNYM KABARECIE PIWNICA POD BARANAMI I NIEMNIEJ GENIALNYM TEATRZE STARYM.

eprasa.pl 33022f5d4b

do „poetyzowania”, jak to celnie pokazał Stanisław Wyspiański w „Weselu” w postaci Racheli. Do tego dochodziło typowo galicyjskie „cmokierstwo”, tytułomania i wyższościowe spojrzenie na „warszawkę” oraz całą resztę kraju. Pamiętacie słynne telewizyjne benefisy, których reżyserem i gospodarzem był Krzysztof Jasiński z Teatru STU? Jasne, że usadzanie bohaterów tych wydarzeń na „tronie”, składanie hołdów, wygłaszanie laudacji i dytyrambów oraz konsumpcja wymyślnych w formie (może i smaku?) tortów miało celowo przesadny charakter, lecz niekiedy dystans i ironia zanikały, a wystąpienia uczestników nabierały cech tromtadracji. I nie obywało się bez aluzji politycznych...

ANDRZEJ SIKOROWSKI Z ZESPOŁU POD BUDĄ ZADEKLAROWAŁ, ŻEBY BROŃ BOŻE NIE PRZENOSIĆ IM, PRAWDZIWEJ ELICIE KULTURALNEJ, STOLICY DO KRAKOWA. BO PRZECIEŻ W MIEŚCIE KRAKA SAMA LOKALNA AURA UWZNIOŚLA.

Kulturalne zasoby

Oczywiście, Kraków może poszczycić się mnóstwem mniejszych i większych galerii oraz muzeów. Dla tych, którzy stawiają pierwsze kroki na Rynku Głównym, atrakcją będzie Galeria Sztuki Polskiej XIX wieku w Sukiennicach, gdzie wiele wybitnych dzieł i głośnych nazwisk: Matejko, Siemiradzki, Gierymski, Malczewski. Stamtąd krótki spacerek na Plac Szczepański do secesyjnego Pałacu Sztuki wzniesionego na przełomie XIX i XX stulecia na wzór wiedeńskiego Pawilonu Secesji. Jak ma się szczęście, można trafić na jakąś interesującą prezentację – bo gmach należy do Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie i niestety musi na siebie zarabiać. Toteż ambitnych wystaw coraz mniej, bo eksponują tam prace ci, którzy zapłacą. W efekcie największy atut pałacu to sama architektura, a zwłaszcza fasada zdobiona rzeźbami oraz fryzem zaprojektowanym przez Jacka Malczewskiego. Nie ma też powodu rozwodzić się nad zaletami udostępnionych do zwiedzania domostw niegdysiejszych tuzów sztuki – Jana Matejki, Józefa Mehoffera, Stanisława Wyspiańskiego. Pomijam też takie instytucje jak Międzynarodowe Centrum Kultury w kamienicy „Pod Kruki”, Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha czy Muzeum Fotografii – każde z tych miejsc trzyma poziom, acz ważne wydarzenia zdarzają się od wielkiego dzwonu. Nie potrzeba również nikogo przekonywać o bogactwie zbiorów Muzeum Narodowego (jego historia zaczęła się ponad 140 lat temu). Kiedyś organizowane tam czasowe ekspozycje to były petardy, z doskonałymi aranżacjami – powód, żeby wskoczyć w pociąg i napawać się czymś, czego nie widziało się gdzie indziej. Obecna bieżączka przypomina wietrzenie magazynów: „Młoda Polska” z tutejszej kolekcji, „Polski rozdział w kolekcji Kijowskiej Narodowej Galerii Sztuki”, „Satyra i komiks u Jana Matejki”. A co się dzieje vis à vis muzeum, w budynku byłego Hotelu Cracowia, odkupionym w 2016 roku przez MNK? Przez dekadę odbyło się tu ledwie siedem krótkich pokazów niewartych wzmianki.

Się jeździło (i czasem jeszcze jeździ)

Wśród prywatnych galerii sztuki w Kra (jak w skrócie mówią lokalsi) dwie przyciągały uwagę: Zderzak stworzony w 1985 roku przez Martę Tarabułę, jeszcze wtedy studentkę historii sztuki (dodam: córkę świetnego artysty Janusza, zmarłego w tym roku). W czasach dogorywającej komuny to było coś niezwykłego, bo Zderzak funkcjonował w nurcie kultury niezależnej, poza cenzurą, zderzając (zgodnie z nazwą) twórczość najnowszą, młodą, z tradycyjnym środowiskiem miast. Cztery lata młodsza jest Galeria Starmach, prowadzona przez małżeństwo historyków sztuki, Teresę i Andrzeja, skoncentrowana na klasykach nowoczesności, naszych największych mistrzach (z Nowosielskim, Kantorem, Opałką czy Abakanowicz na czele). W 1997 roku ogromne wrażenie zrobiła na mnie nowa siedziba galerii – w zaadaptowanym do wystawienniczych potrzeb dawnym Domu Modlitwy Zuckera. Ależ to wydawało się odważne! Teraz coraz więcej świątyń religijnych przekształca się w galerie... (Całe tegoroczne Manifesta 16 zlokalizowano w 12 opuszczonych kościołach w Zagłębiu Ruhry). A nad Wisłą na Podgórzu, niedaleko Starmacha, w 2014 roku powstał znakomity architektonicznie budynek Ośrodka Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora Cricoteka. Tu bywa bardzo ciekawie, bo trzonem są dokonania Kantora i artystów wokół niego skupionych. Skoro o nich mowa – Galeria Krzysztofory przy ulicy Szczepańskiej, najstarsza awangardowa galeria w Polsce, po-

eprasa.pl 33022f5d4b

wstała w 1957 roku, gdzie wystawiała Grupa Krakowska i gdzie odbyły się pierwsze happeningi Kantora, „przeorientowała się" na sztukę ludową i rzemiosło.

Afery i skandale

Kolejne miejsce, do którego peregrynowałam, to Bunkier Sztuki (Plac Szczepański przy Plantach), od 1994 roku ze statusem galerii miejskiej, sprofilowany na współczesność. Po długoletnim remoncie (2021–2024) i kilku głośnych skandalach od 2024 roku panuje tu miłościwie Delfina Jałowik, wieloletnia kuratorka MOCAK-u i bliska współpracownica Marii Anny Potockiej. Za pośrednictwem tej drugiej osoby łączą się historie dwóch krakowskich instytucji. Potocka została powołana na dyrektorski stołek w Bunkrze w 2010 roku bez konkursu, i to po raz drugi – bo pierwszy raz kierowała tą instytucją w latach 2002–2010. Szefująca galerii od 2014 roku Magdalena Ziółkowska została odwołana 4 lata później pomimo protestu środowiska, a jej miejsce zajął wicedyrektor MOCAK-u Roman Krzysztofik. Nie porządził długo, jako że już w 2019 roku jego miejsce zajęła – nie uwierzycie! – Maria Anna Potocka, też za sprawą mianowania. Warto podkreślić, że jednocześnie ta sama osoba od 2010 roku kierowała Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie (MOCAK). Zapyta ktoś – prowadziła dwie ogromne i ważne instytucje naraz? No tak. Jednak... w 2024 roku wybuchł skandal związany z oskarżeniem Maszy (jak powszechnie jest nazywana) o mobbing przez jedną z byłych pracownic Bunkra. Finał znacie – prezydent Aleksander Miszalski Marię Potocką odwołał, co wywołało kolejne środowiskowe zamieszanie oraz lawinę listów „za" tą decyzją i „przeciw" niej. Od 2025 roku w MOCAK-u nastał nowy szef – Adam Budak, doświadczony kurator, ale także (jak Masza) charakterologicznie „trudny". I już po 9 miesiącach został odwołany na skutek skargi pracowników muzeum. Znów zarzucano mu mobbing i dyskryminację, wywieranie presji psychicznej, nieracjonalne decyzje, lekceważenie procedur i ogólną dezorganizację pracy. Fatalny zespół czy złe fluidy w instytucji? A może jednak niewłaściwa osoba wybrana na kierownicze stanowisko?

ZDERZAK FUNKCJONOWAŁ W NURCIE KULTURY NIEZALEŻNEJ, POZA CENZURĄ, ZDERZAJĄC (ZGODNIE Z NAZWĄ) TWÓRCZOŚĆ NAJNOWSZĄ, MŁODĄ, Z TRADYCYJNYM ŚRODOWISKIEM MIAST.

W 1997 ROKU OGROMNE WRAŻENIE ZROBIŁA NA MNIE NOWA SIEDZIBA GALERII – W ZAADAPTOWANYM DO WYSTAWIENNICZYCH POTRZEB DAWNYM DOMU MODLITWY ZUCKERA.

Wawelski spokój

Za to spokój panuje w Muzeum Narodowym, choć to gigant: aż 12 oddziałów, najwięcej w Polsce, w tym Muzeum Książąt Czartoryskich z naszym największym skarbem, „Damą z gronostajem" Leonarda da Vinci. Na dyrektorskim stanowisku trwa od 2020 profesor Andrzej Szczerski – po konkursie w ubiegłym roku w listopadzie rozpoczął drugą kadencję, na co Hanna Wróblewska dała błogosławieństwo, a oficjalnie powołała go Marta Cienkowska. Z kolei poprzednik obecnego szefa MNK Andrzej Betlej też już drugą kadencję króluje na Zamku Królewskim. A że prolongatę zawdzięczał ministrze Hannie Wróblewskiej, odwzajemnił jej się utworzeniem nieistniejącego dotychczas na Wawelu stanowiska pełnomocnika do spraw sztuki współczesnej. To jeden z najbardziej zastanawiających pomysłów, trącący towarzyskim układem. Co Wróblewska będzie robić w Krakowie? Wedle słów rzecznicz-ki prasowej Wawelu „będzie działać na rzecz muzeum w zakresie decyzji dotyczących kolejnych interwencji sztuki współczesnej". Przedsmak tego miksu już mieliśmy – w ubiegłym roku na Wawelu pokazano malarstwo Łukasza Stokłosy (ur. 1986), płótna którego to autora obecnie pojawiły się na Zamku Królewskim w... Warszawie. A ja mam apel: nie przenoście nam Krakówka do Warszawy!

eprasa.pl 33022f5d4b

45-LECIE „TYGODNIKA SOLIDARNOŚĆ”

Gdyby wierzyć Waldemarowi Łysiakowi, Adamów Michników było dwóch. Jeden odbierał na świecie nagrody za głoszenie tolerancji, drugi w tym czasie miał kierować redakcją „Gazety Wyborczej” i publikować kolejne paszkwile. To właśnie z tym „drugim” Michnikiem Łysiak rozprawił się na łamach „Tygodnika Solidarność”, nie szczędząc charakterystycznego dla siebie sarkazmu. Przypominamy jego list otwarty opublikowany w **nr. 50 (691) 14 grudnia 2001 roku**, z okazji 45-lecia pisma.

List otwarty do Adama Michnika

Wielce czcigodny Panie Adamie!
Życzliwie donoszę Panu, co następuje: ja już od dawna żywiłem niejakie podejrzenia, iż Panów jest dwóch – Pan (wiadomo: heros-idol-guru, żywy pomnik prawości i junactwa) oraz ten paskudnik, co się podszywa pod Pańską szlachetną figurę od jakiegoś czasu. Wie Pan – to tak jakz Szekspirem. Już prawie dwieście lat różni uczeni dowodzą, że „dzieł Szekspira” nie napisał Szekspir, tylko ktoś inny, więc Francuz Alfons Allais (tekściarz kabaretu „Czarny Kot”) skomentował to następująco: „Dramaty Szekspira nie są w rzeczywistości dziełami Williama Szekspira, tylko pewnego tajemniczego osobnika, który całkiem przypadkowo nazywał się również William Szekspir”. Wziąwszy pod uwagę, że Pan ciągle przebywa poza krajem, wojażując od stolicy do stolicy, by niezmordowanie odbierać nagrody, które za głoszenie tolerancji przyznają Panu wszystkie organizacje humanitarne i humanistyczne tego świata – jest rzeczą sui generis naturalną, iż w osieroconej Redakcji zalągł się Panu osobnik, który perfidnie gra Pańską rolę ku uciesze Pańskich wrogów. Podziwiam Pana, że Pan to znosi tak stoicko – jeno spiżowych mężów stać na taki hart ducha. Teraz zaś ad rem:

Otóż donoszę Panu życzliwie, iż Pański wielce szacowny tudzież imponujący organ opublikował w dniu 6 grudnia kolejny pełnokolumnowy paszkwil pod moim adresem. To już piękna tradycja tegoż organu. Tym razem nazwano mnie „idiotą”, „bałwanem”, „średnim pisarzem” tudzież „Lepperem polskiej literatury i publicystyki”, a moją twórczość określono jako „kompletne brednie [...], których skomplikowanie intelektualne nie jest wyższe niż poziom froterki”. A wszystko to dlatego, że – jak twierdzą Pańscy podwładni, autorzy wzmiankowanego tekstu – pastwię się piórem nad Adamem Michnikiem. A przecież ja nie nad Panem się pastwiłem, czcigodny Mistrzu, ino nad szkodnikiem, nad tym drugim, co to Pan wie. Toż ja bym nigdy Pana nie posądzał, że Pan mógłby dać zgodę na wydrukowanie w Pańskim organie artykułu o tym, iż Powstańcy Warszawscy, żołnierze AK, programowo mordowali Żydów! Albo tekstu sugerującego, iż Zbigniew Herbert był tajnym współpracownikiem komunistycznej bezpieki – tekstu, w którym tak zmanipulowano wypowiedź Herlinga-Grudzińskiego, żeby ową sugestię uprawomocniała (co zresztą Herling później oprotestował z wściekłością). Albo tych licznych inwektyw pod adresem Herberta – że był „wampirem Hydem”, „potworem Minotaurem”, alkoholikiem, który w starczym obłąkaniu bredził antykomunistycznie jak najęty itp. To wszystko robota tego drugiego Michnika (który udaje Pana, kiedy Pan kolekcjonuje za granicą dyplomy, ordery i puchary) – samozwańca kierującego antytolerancyjnym gangiem robiącym Panu koło pióra wewnątrz organu (byłażby to „konspiracja Maleszków” i Maleszki koleżków, drogi Mistrzu?). Tak jak nie Pana, ino tego sobowtóra, tyczyła publiczna wypowiedź Herberta: „Michnik jest manipulatorem. To jest człowiek złej woli, kłamca, oszust intelektualny”.

Równie życzliwie donoszę Panu, iż we wspomnianym kolejnym

eprasa.pl 33022f5d4b



WYDARZENIA

WALDEMAR ŁYSIAK:

List otwarty do Adama Michnika

Słabość naszej siły

paszkwilu wymierzonym we mnie zasugerowano, jakobym był wariatem, który opowiada, że Anno Domini 1978 Kreml, z poduszczenia radzieckiej Akademii Wojskowej im. Suworowa, oprotestował formalnie (notą dyplomatyczną – jedyny taki przypadek w PRL-u) moją antyrosyjską książkę – vulgo: że to ani chybi ja sam wysmażyłem tę notę do polskiego MSZ-u, sam pisałem na ten temat teksty w prasie zachodniej i wygłaszałem relacje w Radiu Wolna Europa, sam skopałem wtedy Łysiaka na łamach centralnego organu KC PZPR, „Nowych Dróg" (podpisując tekst nazwiskiem: Andrzej Werblan) i sam wymierzyłem sobie karę w postaci zakazu druku książek Łysiaka (pismem na firmowym papierze Wydziału Kultury KC), zdejmując od ręki dwie własne książki z maszyn drukarskich. Aż dziw, że nie przytoczono innych moich publicznych zmyśleń – choćby tego, że zostałem wówczas w Moskwie aresztowany przez KGB i posiedziałem sobie na Łubiance. Koleżki Maleszki uznały widać, że starczy jeden klaps piętnujący Łysiakową konfabulację. I wytknąwszy mi tę konfabulację, poradziły Łysiakowi „rozejrzeć się za jakimś kompetentnym lekarzem". Pan, Mistrzu, wie najlepiej, jak to boli – toż Panu samemu Herling-Grudziński radził to samo („Michnik winien pójść do dobrego psychiatry"), a Lech Dymarski sugerował, że jest Pan „paranoikiem". Cóż z tego, że obaj mieli na myśli nie Pana, lecz samozwańca – przecież co drugi polski „oszołom" nie rozróżnia Panów, ergo: myli obu Michników! I gdyby ktoś Pana nazwał „Kiszczakiem polskiego dziennikarstwa", czułby Pan to samo, co ja czuję, kiedy te Pańskie etatowce zwą mnie „Lepperem polskiej literatury i publicystyki", zaś fakt, że Pan się przyjaźni z generałem, a ja się nie przyjaźnię z wicemarszałkiem, nie ma tu nic do rzeczy, Mistrzu. Skaranie boskie! Musi ręka diabelska, pichcąca „spiskową teorię dziejów", no nie?

One (te dywersanty robiące Panu koło pióra na łamach Pańskiego organu pod Pańską nieobecność) dla zmyłki zatytułowały wymierzony we mnie paszkwil: „Łysiak Zbawiciel". Jak zobaczyłem ten tytuł, to się ucieszyłem i pomyślałem sobie, że lepszego mikołajkowego prezentu wymarzyć sobie człowiek by nie mógł (bo paszkwil ukazał się w mikołajkowym dniu 6 grudnia), ale zaraz wrodzona skromność mi podszepnęła, żebym się nie nadymał zbytnio – w końcu to jednak lekka przesada. Całkiem jak w tym skeczu z przedwojennego kabaretu: stary i schorowany już marszałek Piłsudski jedzie powozem przez Warszawę, mając zamknięty wzrok; towarzyszy mu Wieniawa, którego Piłsudski raptem pyta:

– Gdzie jesteśmy?

– Na Marszałkowskiej, Komendancie.

Marszałek kiwa głową z aprobatą: – Uhmm, dobrze.

Po pewnym czasie znowu pyta: – A teraz gdzie jesteśmy?

– W Alei Marszałka Piłsudskiego, Komendancie.

– Uhmm, dobrze.

Za jakiś czas znowu: – A teraz gdzie?

– Na Placu Zbawiciela, Komendancie.

– Noo... – mruczy łagodnie marszałek –...przesada.

Też uważam, że tytułowanie mnie Zbawicielem to lekka przesada, ale sam tekst paszkwilu (pomijając drobiazgi, które wymieniłem) generalnie jest w porządku – wiadomo: to nobilituje, gdy one pod Pańską nieobecność flekują tak człowieka, a i towarzystwo ludzi analogicznie sflekowanych przez onych pierwszorzędne (Herbert e tutti quanti). Zatem, umiłowany Mistrzu, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. O czym, życząc dalszych owocnych lat dwuwładzy organowej, donosi

Życzliwy

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 33022f5d4b



KONSTYTUCJA ALBO ŚMIERĆ

dla spółek Skarbu Państwa

Szczepan Ruman

Przez polską debatę publiczną przetoczył się ostatnio spór o potencjalną likwidację Polskiej Grupy Zbrojeniowej. To część szerszego problemu, który **znamy od dekad**: choć spółki Skarbu Państwa (SSP) działają w strategicznych sektorach gospodarki, to nasi politycy zarządzają nimi skrajnie źle, co prowadzi do mizernych rezultatów samych spółek. Problem jest faktyczny i bardzo poważny. Jednak propozycja likwidacji to wylanie dziecka z kąpielą. Spółki Skarbu Państwa to często jedyne narzędzia do realizacji narodowych priorytetów w kluczowych obszarach gospodarki. Albo nauczymy się tych narzędzi dobrze używać, albo będziemy bezradni. Dla naszej państwowości jest to sprawa tak fundamentalna, że SSP powinny znaleźć swoje trwałe zakorzenienie w konstytucji RP.

eprasa.pl 33022f5d4b



Fot. Neil Milton / Zuma Press / Forum

Mechanizm jest znany i funkcjonuje w III RP z upiorną powtarzalnością: telekomunikacja jest sektorem strategicznym, ale politycy zarządzają nią źle, wyrasta prywatna i zagraniczna konkurencja, kończymy z dominującym udziałem zagranicy w tym sektorze. Media są sektorem strategicznym, ale politycy zarządzają nim źle, kończymy z dominującym udziałem zagranicy na rynku mediów, zwłaszcza w nowych mediach internetowych i platformach streamingowych. Poczta jest sektorem strategicznym, ale nasi nieudolni politycy doprowadzają ją do stanu upadłościowego, nowy i intratny rynek paczek i paczkomatów oddając zagranicznej i prywatnej konkurencji (tu akurat jest jeszcze trochę podmiotów polskich).

Teraz na naszych oczach proces ten odbywa się w sektorze energii: państwowe molochy – PGE, TAURON, Enea – mają odprowadzić na cmentarz historii elektrownie węglowe i same się na tym cmentarzu zadomowić, roztrwaniając swoje udziały w rynku, aby oddać go podmiotom zagranicznym i garści polskich podmiotów prywatnych (które później po kolei wykupione zostaną przez zagranicę).

Tak: politycy bardzo źle zarządzają naszym majątkiem. Nie: rozwiązaniem nie jest ani „prywatyzacja" – taka, jaką znamy z pierwszych 15 lat III RP, ani też likwidacja SSP. Dlaczego? Jeśli chodzi o prywatyzację, to dlatego, że nie ma w Polsce prywatnego kapitału zdolnego do zakupu tych spółek, więc prywatyzacja oznacza wyprzedaż do zagranicznych właścicieli. Jeśli chodzi o likwidację, to dlatego, że SSP to nasz, polski, kapitał, w kluczowych sektorach gospodarki. Kapitał ma narodowość, a my w strategicznych sektorach potrzebujemy kapitału narodowości polskiej. Jakim bylibyśmy (będziemy?) krajem i narodem, gdybyśmy utracili polską własność w: transporcie kolejowym, energetyce, poczcie, górnictwie, lotnictwie, sektorze zbrojeniowym i paliwowym? Bylibyśmy narodem suwerennym, podmiotowym na mapie świata? Sprzedaż zagranicznemu kapitałowi, likwidacja czy powolna agonia na modłę Poczty Polskiej – wszystkie te trzy scenariusze prowadzą do jednego rezultatu: utraty podmiotowości.

NIE ZNAJDZIEMY ROZWIĄZANIA IDEALNEGO. RÓWNIEŻ FIRMY PRYWATNE NIE SĄ ZARZĄDZANE IDEALNIE – SĄ PODATNE NA BŁĘDY I PROBLEMY SWOICH PRYWATNYCH WŁAŚCICIELI.

Oczywiście, spółki Skarbu Państwa nie powinny być preferowane kosztem prywatnych firm należących do polskich właścicieli. Jednak po dwóch wiekach zaborów i komuny (z przerwami) jesteśmy narodem wciąż ubogim w kapitał. Majątki prywatnych właścicieli buduje się przez pokolenia,

eprasa.pl 33022f5d4b

u naszych sąsiadów, takich jak Niemcy czy Francja, proces ten nie został zasadniczo zaburzony ani przez okupację (Francja), ani nazizm w Niemczech. My nie mieliśmy takiego przywileju. Po PRL kluczowe składniki majątku narodowego wciąż pozostają w rękach Skarbu Państwa, a prywatne firmy w strategicznych obszarach rosną powoli – to normalne. Sprzyjając więc budowie i rozwojowi polskiego prywatnego kapitału, musimy jednocześnie dbać o ten publiczny, należący do nas wszystkich. Sukcesem Polski byłoby nie to, żeby więdnące i rozkradane spółki Skarbu Państwa, zostały choć w części zastąpione przez polskie spółki prywatne, aby strategiczne sektory nie zostały w całości przejęte przez podmioty zagraniczne. Sukcesem Polski byłoby to, aby dobrze zarządzane spółki Skarbu Państwa budowały dobrobyt naszego kraju jeszcze przez kilka pokoleń, a wraz z wyrosłymi obok nich polskimi spółkami prywatnymi tworzyły wewnętrzną rynkową konkurencję, która sprawi, że tylko najlepsze zagraniczne podmioty będą potrafiły w ogóle u nas zaistnieć.

W zakresie zarządzania spółkami Skarbu Państwa to jedyne dobre dla nas rozwiązanie jest odwrotne do tego, które było ostatnio w Polsce przedmiotem polemiki. To nie spółki mają się zmienić pod wpływem polityków: zostać sprywatyzowane czy zlikwidowane. To politycy mają zmienić swój wpływ na spółki: muszą przestać dewastować nasze spółki swoimi skrajnie złymi standardami zarządzania.

ROZWIĄZANIE KWADRATURY KOŁA SPÓŁEK SKARBU PAŃSTWA JEST KONIECZNYM ELEMENTEM STRATEGII ROZWOJU DLA POLSKI. BEZ SSP JAKO NARZĘDZI REALIZACJI TAKIEJ KONCEPCJI W KLUCZOWYCH OBSZARACH – STAŁABY SIĘ ONA TYLKO ZBIOREM HASEŁ I POCZCIWYCH MARZEŃ.

Temat kumoterstwa, nepotyzmu i niekompetencji w zarządzaniu SSP to niekończąca się opowieść. Trudno byłoby nawet wybrać kilka najbardziej jaskrawych przykładów tych zjawisk, bo kandydatur jest tak wiele jak produktów na półce w hipermarkecie. Każdy kolejny rząd w kampanii obiecywał zmianę – a potem przystępował do kręcenia karuzelą politycznych nominatów, z których bardzo niewielu miało podstawowe kompetencje do zajmowanych stanowisk. Jeśli chodzi o Polską Grupę Zbrojeniową, to od momentu jej powstania, od ponad dekady, prezes Zarządu zmienia się tam średnio co roku, a większość z nich nigdy nie powinna była zajmować tego stanowiska.

Rozwiązanie kwadratury koła spółek Skarbu Państwa jest koniecznym elementem strategii rozwoju dla Polski. Bez SSP jako narzędzi realizacji takiej koncepcji w kluczowych obszarach – stałaby się ona tylko zbiorem haseł i poczciwych marzeń. Wszyscy czujemy, że jesteśmy w okresie przełomu – zarówno globalnie, jak i wewnętrznie, w Polsce. Rzeczywistość zmienia się bardzo szybko i stajemy przed nowymi, wielkimi wyzwaniami w dziedzinie bezpieczeństwa, ekonomii, technologii – czy tego chcemy, czy nie. Wiemy, że strategia: „wejdziemy do NATO, wejdziemy do UE, a potem już jakoś to będzie” – wyczerpała się i teraz potrzebujemy nowej, narodowej koncepcji z prawdziwego zdarzenia. Amerykanie nazywają to „wielką strategią” – to dokument, który definiuje kierunki działania całego państwa na najwyższym poziomie. Dobrze zarządzane spółki Skarbu Państwa, realizujące strategicz-

STRATEGIA: „WEJDZIEMY DO NATO, WEJDZIEMY DO UE, A POTEM JUŻ JAKOŚ TO BĘDZIE” – WYCZERPAŁA SIĘ.

eprasa.pl 33022f5d4b

ne cele – muszą być integralnym elementem naszej nowej, polskiej „wielkiej strategii".

Nie znajdziemy rozwiązania idealnego. Również firmy prywatne nie są zarządzane idealnie – są podatne na błędy i problemy swoich prywatnych właścicieli. Jednak pomiędzy stanem idealnym a stanem skrajnie złym, z którym obecnie mamy w Polsce do czynienia, jest cały świat różnych możliwości. Nie musimy szukać tego, co nierealne. Wystarczy, że znajdziemy rozwiązanie wystarczająco dobre. Dobrym kierunkiem jest praca nad wpisaniem systemu zarządzania spółkami Skarbu Państwa do konstytucji. Konstytucje Polski i wielu innych państw nieprzypadkowo tworzą misterne systemy wyboru oddziałujących na siebie nawzajem organów władzy. Tworzenie skomplikowanych procedur i sieci współzależności ma sprzyjać temu, aby finalny rezultat w postaci jakości władzy i jej efektywności dla państwa był jak najlepszy. Skoro takie podejście działa, jeśli chodzi o zarządzanie całym państwem, to czemu nie miałoby zadziałać dobrze na zarządzanie dużo mniejszymi od państwa spółkami?

Haczyk polega na tym, że do zmiany konstytucji potrzebny jest konsensus wielu środowisk politycznych. Dzięki temu zapisane w niej zasady są trwałe i stabilne. Zasady te regulują działanie kluczowych organów państwa, takich jak Trybunał Konstytucyjny czy Najwyższa Izba Kontroli. W tym kontekście należy zwrócić uwagę, że spółki Skarbu Państwa są specyficznym tworem postkomunistycznych państw Europy Środkowej. Nie są więc uregulowane w konstytucjach wielu innych narodów. Jednak mając na uwadze ich strategiczne znaczenie – powinny one znaleźć swoje miejsce w naszej konstytucji. Obecna ustawa zasadnicza RP dostrzega na przykład wagę mediów: radia i telewizji. To zapisy przestarzałe, nie uwzględniają one bowiem istnienia internetu. Jednak sama idea stworzenia Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji była przynajmniej jakąś próbą zapewnienia strategicznie ważnym spółkom odpowiedniego mechanizmu zarządzania. Ta kulawa próba powinna być punktem wyjścia i inspiracją do dalszych prac nad zarządzaniem naszym narodowym majątkiem.

NIE WYOBRAŻAM SOBIE INNEGO SKUTECZNEGO SPOSOBU UREGULOWANIA ZARZĄDZANIA SPÓŁKAMI SKARBU PAŃSTWA NIŻ W KONSTYTUCJI.

HACZYK POLEGA NA TYM, ŻE DO ZMIANY KONSTYTUCJI POTRZEBNY JEST KONSENSUS WIELU ŚRODOWISK POLITYCZNYCH.

Podjęcie wysiłku, aby zbudować jakieś dobre mechanizmy, jest lepsze niż kapitulacja i oddanie spółek i całych grup kapitałowych na pastwę sitw organizowanych przez poszczególnych wiceministrów czy posłów, aby powoływali tam, kogo chcą. Albowiem skomplikowane procedury to nie tylko teatr, który ma przesłonić brzydką prawdę: to rzeczywistość, która ma realnie ograniczać najgorsze praktyki, a promować te dobre.

Nie wyobrażam sobie innego skutecznego sposobu uregulowania zarządzania spółkami Skarbu Państwa niż w konstytucji. Nie wyobrażam sobie też dobrej nowej konstytucji dla Polski bez uregulowania w niej statusu spółek Skarbu Państwa. Jest wiele mechanizmów, które wymuszają budowanie konsensusu wokół dobrych kandydatur, np. wybieranie osób mniej kontrowersyjnych, a bardziej kompetentnych. Politycy te mechanizmy dobrze znają. Stan, do którego w zakresie zarządzania spółkami Skarbu Państwa doszliśmy po 37 latach III RP, to chyba już dno, więc warto spróbować to zmienić. Od września zaczyna się rok wyborczy. Jedną z konkurencji, w których wystartują w tym sezonie wszystkie stronnictwa polityczne, będzie skok w dal w obszarze spółek Skarbu Państwa: pokazanie wiarygodnego rozwiązania, aby oddalić się jak najdalej od tego, co jest obecnie.

eprasa.pl 33022f5d4b



„Razemki” odkrywają patriotyzm

eprasa.pl 33022f5d4b



Fot. ArtService / Forum

Trzeba skruszyć monopol prawicy na patriotyzm. Lewica kochająca swoją ojczyznę, budująca silną Polskę i doceniająca narodowe tradycje jest jak najbardziej do pomyślenia – i znajduje liczne przykłady w historii. Warto się więc do nich odwoływać, bo Polacy raczej **nie będą masowo głosować** na kosmopolitycznych ojkofobów uprawiających pedagogikę wstydu. Tak w skrócie można przedstawić deklarowane dziś podejście do patriotyzmu słynnych „razemków", czyli środowiska Partii Razem.

Ludwik Pęzioł

Brzmi to bardzo dobrze. W końcu lewica będzie istnieć zawsze, a nawet z perspektywy prawicowca lepiej, by dominowała jej wersja przywiązująca wagę do wartości patriotycznych. Ostrożność każe jednak sprawdzić, na ile narracja „razemków" jest wiarygodna. Skrajna lewica ma przecież długą tradycję „wrogiego przejmowania" pojęć swoich adwersarzy. Wystarczy wspomnieć przerabianie Jezusa Chrystusa i apostołów na rewolucyjnych socjalistów, „queerowanie" narodowych wieszczów czy feministyczne odczytywanie klasycznego kanonu literackiego. Skąd więc pewność, że patriotyczna retoryka nie jest po prostu kolejną odsłoną tej samej praktyki – przejęcia istniejących symboli i nadania im zupełnie nowego znaczenia?

Weryfikacja rzeczywistych intencji „razemków" jest przy tym wyjątkowo trudna. Jako partia polityczna nie będą przecież – w przeciwieństwie do bardziej wywrotowych intelektualistów i aktywistów – otwarcie przyznawać, do czego ich działanie zmierza. Jednocześnie dysponuje znakomitym kontrargumentem wobec każdej próby zakwestionowania szczerości ich patriotyzmu. Wystarczy odpowiedzieć, że patriotyzm nie jest przecież zarezerwowany dla jednej grupy i że nikomu nie można odmawiać prawa do czczenia polskich ofiar wojennych, oddawania hołdu narodowym symbolom czy szacunku dla ważnych postaci historycznych.

> ZANDBERG MÓWI WPROST: PODĄŻANIE KU SUPERPAŃSTWU EUROPEJSKIEMU TO JEST WŁAŚCIWY KIERUNEK.

„Niepodległość", czyli co?

W myśl rozróżnienia między twardymi elementami polityki

eprasa.pl 33022f5d4b

a miękką warstwą symboli warto przyjrzeć się rzeczywistym działaniom Adriana Zandberga i sprawdzić, czy deklarowany patriotyzm nie jest przypadkiem sprytnym politycznym PR-em. W aktywie „razemków" Zandberg jest bowiem postacią kluczową. Wśród osób zaznajomionych ze stosunkami panującymi w Razem uchodzi on za polityka autorytarnego, z którym trzeba się we wszystkim zgadzać, jeśli nie chce się szybko pożegnać z karierą w partii.

Młody Zandberg, który trafił do Federacji Młodych Unii Pracy, rzeczywiście mógł zetknąć się tam z tradycją niepodległościowej socjaldemokracji. Również u Marksa, którym od najmłodszych lat się fascynował (prowadził nawet polską odsłonę internetowego archiwum marksistowskiego), można znaleźć wątki sympatii dla polskich dążeń niepodległościowych. Sama droga ideowego kształtowania Zandberga nie wyklucza więc tego, że może on być „niepodległościowcem", na co chętnie powołują się jego zwolennicy.

Zatrzymajmy się jednak przy „razemkowej" wizji owej „niepodległości", a zwłaszcza jej relacji wobec struktur Unii Europejskiej. Adrian Zandberg doskonale wie, że nazwanie się mianem zwolennika „federalizacji Europy" wykreśliłoby go w oczach wielu wyborców z grona polityków patriotycznych. Jak ognia unika więc słów, które mogłyby przykleić mu niewygodną etykietę „federalisty". Problem w tym, że nawet najbardziej czujny polityk nie jest w stanie przez całą, wieloletnią karierę kontrolować każdego sformułowania. I właśnie dlatego szczególnie interesujący jest jego występ w Sejmie 4 maja 2021 roku podczas debaty nad ratyfikacją Europejskiego Funduszu Odbudowy. Zandberg powiedział wówczas: – Słyszę, że pan minister Ziobro mówił dzisiaj w Sejmie, że będzie głosować przeciwko, bo ten fundusz to jest federalizacja Europy. To jest krok w stronę europejskiego superpaństwa. Więc odpowiadam panu ministrowi Ziobrze. Nie myli się pan, panie ministrze. To jest pogłębienie integracji europejskiej. I bardzo dobrze, że tak jest. Bo nowe, wspólne inwestycje publiczne związą nas silniej z Europą. A europejski mechanizm praworządności utrudni panu, panie ministrze, bezkarne niszczenie polskich sądów".

> RAZEMKI MOGĄ KOCHAĆ POLSKĘ, ALE TYLKO TĘ, KTÓRA DOPIERO MA POWSTAĆ – SKONSTRUOWANĄ WEDŁUG ICH WŁASNEGO PROJEKTU.

To nie jest już sugestia, którą trzeba mozolnie wyczytywać między wierszami programu partyjnego. Zandberg mówi wprost: podążanie ku federalizacji i superpaństwu (co można zamiennie nazywać „pogłębioną integracją") to jest właściwy kierunek.

Tego rodzaju przypływy szczerości były jednak rzadkie. Na co dzień Zandberg, podobnie jak dokumenty programowe Razem, zamiast wspominać o federalnym państwie europejskim, woli mówić o wspólnej europejskiej armii, wspólnej polityce energetycznej, podatkowej czy społecznej, europejskim wymiarze sprawiedliwości i kolejnych kompetencjach przekazywanych na poziom unijny. Każdy z tych postulatów można przedstawić osobno jako rozsądny i techniczny. Dopiero kiedy złoży się je w całość, obraz staje się mniej niewinny: niepodległość Polski ma zostać zastąpiona przez podległość określonym, ponadnarodowym strukturom.

Ojczyzna z przyszłości

Partia Razem zasłynęła również hasłem „Polska z atomu, krzemu i stali", które stało się zarazem tytułem jej deklaracji programowej. Trudno o patriotę, którego by nie porwała taka wizja. Odnosi się ona przecież do budowy silnego kraju. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy zapytamy: dla kogo właściwie ma być ta silna Polska?

Jeśli bowiem kolejne obszary realnej władzy mają być przenoszone na poziom europejski, to również wypracowane przez Polaków bogactwo i zasoby nie będą służyły wyłącznie realizacji polskich interesów. W klasycznie rozumianym patriotyzmie rozwój gospodarczy i technologiczny ma przecież zwiększać podmiotowość państwa – tak aby Polska mogła stać się liczącym graczem na arenie międzynarodowej. W wizji „razemków" rzeczywistym podmiotem aspiracji nie jest jednak „silna Polska", a silna Europa, która będzie mogła skuteczniej konkurować z Chinami czy Stanami Zjednoczonymi. Patriotyzm nie zaczyna się od rzeczownika „Polska" w nazwie programu, lecz od odpowiedzi na pytanie, kto ma mieć władzę nad owocami polskiego rozwoju?

Teoretycznie można by jeszcze bronić stanowiska „razemków", gdyby uznać, że instytucjonalne

eprasa.pl 33022f5d4b

i polityczne roztopienie się w strukturach Unii Europejskiej ma służyć jakiejś wyższej wartości patriotycznej – na przykład zachowaniu szeroko rozumianej kultury narodowej, obyczajów czy charakterystycznego dla Polaków stylu życia. Skoro państwo miałoby tracić część swojej politycznej podmiotowości (np. w celach zapewnienia sobie fizycznego bezpieczeństwa), może przynajmniej rekompensowałoby to sobie skuteczną ochroną tego, co czyni Polskę Polską.

Jak w takim razie „razemki" zapatrują się na elementy narodowej tożsamości? Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda patriotycznie. Jest flaga, są bohaterowie, są rocznice. Problem w tym, co znajduje się pod tą symboliczną warstwą. Tam bowiem kryje się projekt daleko idącej przebudowy polskiego stylu życia. Zandberg w mediach przekonuje oczywiście, że jest inaczej. Odpowiedzialność za wojny kulturowe chętnie przerzuca na prawicę, a sam przedstawia się jako polityk, który woli zajmować się rozwojem Polski, likwidowaniem patologii i ułatwianiem życia zwykłym obywatelom. Tyle że wystarczy zajrzeć do programu jego partii, by zobaczyć, że kwestie kulturowe wcale nie są dla Razem marginalnym dodatkiem.

Mamy tam postulaty penalizacji tzw. mowy nienawiści, prawnego uznania osób niebinarnych, zakazu terapii konwersyjnych czy wprowadzenia „małżeństw jednopłciowych" wraz z prawem do adopcji. Trudno udawać, że są to rozwiązania neutralne kulturowo albo że wynikają wprost z polskiej tradycji. Przeciwnie – oznaczają świadomą próbę wywrócenia norm obyczajowych i prawnych, które przez pokolenia kształtowały polskie społeczeństwo.

A przecież to dopiero jedna warstwa. Do tego dochodzi charakterystyczny dla tego środowiska multikulturalizm, antyklerykalizm i głęboka niechęć do Kościoła katolickiego – instytucji, której rola w kształtowaniu polskiego doświadczenia narodowego jest trudna do przecenienia. Można więc mieć Polskę z atomu, krzemu i stali, ale jednocześnie konsekwentnie usuwać kolejne elementy tego, co nadaje jej kulturową treść.

I w tym sensie pojawia się zasadnicza wątpliwość wobec patriotyzmu Zandberga i „razemków". Być może rzeczywiście kochają Polskę. Tyle że wygląda na to, że najbardziej kochają Polskę, która dopiero ma powstać – Polskę przyszłości, skonstruowaną według ich własnego projektu, która ma z realną Polską niewiele wspólnego.

> MOŻNA BYĆ SOCJALISTĄ ZATROSKANYM O NOMINALNIE POLSKIEGO PRACOWNIKA, NIE BĘDĄC ZARAZEM PATRIOTĄ W KLASYCZNYM SENSIE.

Omijając rafy

Skoro Zandberg i „razemki" chcą ograniczać znaczenie państwa narodowego, przekazywać realną władzę ponadnarodowym gremiom, a jednocześnie nadawać „polskości" nowe (i mało „polskie") znaczenie, zawsze mogą próbować zbudować alternatywną definicję patriotyzmu: powiedzieć, że chodzi im po prostu o los zwykłego Polaka, jego poziom życia, bezpieczeństwo socjalne i dostęp do usług publicznych.

Tyle że dokładnie ten sam argument mogą przedstawiać kosmopolityczne nurty socjalizmu. Dbanie o sytuację konkretnego człowieka nie staje się automatycznie patriotyzmem tylko dlatego, że człowiek ten ma polskie obywatelstwo. Można uznawać takie działania za dobre i potrzebne, ale sama troska o określoną grupę społeczną nie jest jeszcze troską o naród jako wspólnotę polityczną i kulturową.

I tutaj dochodzimy do sedna. W perspektywie klasowej podstawowym podmiotem nie jest naród, lecz klasa. To jej interesy wyznaczają zasadniczy punkt odniesienia, a narodowość poszczególnych jej przedstawicieli staje się cechą drugorzędną. Dlatego można być socjalistą zatroskanym o nominalnie polskiego pracownika, nie będąc zarazem patriotą w klasycznym sensie. Patriotyzm zaczyna się dopiero wtedy, gdy polskość nie jest przypadkowym przymiotnikiem dopisywanym do politycznego programu, lecz stanowi jeden z jego podstawowych punktów odniesienia.

Wszystko to składa się na dość prosty wniosek. „Razemki" znakomicie odrobiły lekcję z tego, co drażni polskie społeczeństwo – i równie dobrze nauczyły się, czego lepiej nie mówić, jeśli nie chce się wyborczo „strzelić sobie w stopę". Proponują więc „patriotyzm" jako sprawnie skrojoną strategię politycznego marketingu obliczonego na pozyskiwanie tożsamościowo polskiego wyborcy, pod którym kryją się rzeczy zgoła przeciwne od deklarowanych.

eprasa.pl 33022f5d4b

XXXV FORUM EKONOMICZNE W KARPACZU



Fot. M. Żegliński

Zmiana w polityce UE jest nieunikniona

– Praca musi wrócić do Europy, bo nie można mówić o rozwoju, przyszłości i godnym życiu, jeżeli jej nie ma – mówi **Zygmunt Berdychowski**, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu, w rozmowie z **Krzysztofem Karnkowskim**.

– Gdy dwa lata temu rozmawiał Pan z „Tygodnikiem Solidarność" przed ówczesną edycją Forum, główną myślą było, że świat odpływa Europie, między innymi z powodu jej podejścia do energetyki. Obawiam się, że znam odpowiedź, ale muszę zapytać: czy coś się od tego czasu zmieniło?

– Zmieniło się bardzo dużo. Wbrew pozorom te dwa lata były okresem niesłychanie szybkiego, wcześniej niewyobrażalnego rozwoju technologii, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Chinach, ale również w Indiach. Dzisiaj obserwujemy wręcz przepaść technologiczną między Europą a USA czy Chinami. Wystarczy spojrzeć na najnowocześniejsze chipy produkowane w Stanach Zjednoczonych: na jednym centymetrze kwadratowym mieści się osiem miliardów tranzystorów. W ostatnich latach dokonała się w tej dziedzinie prawdziwa rewolucja. Czy Europa brała w niej udział? Nie.

Przyczyną jest w pierwszej kolejności nadmiar regulacji, który odbiera europejskiej gospodarce konkurencyjność. Problemem nie

eprasa.pl 33022f5d4b

są już tylko wojna i utrata dostaw taniego gazu, stanowiącego fundament europejskiej, zwłaszcza niemieckiej, energetyki. Regulacje sprawiają, że niezwykle trudno budować konkurencyjność także w takich dziedzinach jak przemysł kosmiczny. Europejska rakieta Ariane ma wystartować w tym roku cztery razy i jest rakietą jednorazowego użytku. Tymczasem w pierwszym półroczu 2026 roku Falcon 9 Elona Muska, mający zbliżone parametry, startował 66 razy. To oznacza jedenaście startów miesięcznie, niemal jeden na trzy dni. Rakieta leci, wraca i może zostać ponownie wykorzystana.

JEŚLI PAŃSTWO CHCE BUDOWAĆ NOWOCZESNĄ GOSPODARKĘ, ZAPEWNIAĆ SOBIE BEZPIECZEŃSTWO I PROWADZIĆ BADANIA, MUSI BYĆ OBECNE W KOSMOSIE.

Amerykańska agencja kosmiczna podpisała umowę z prywatną firmą Muska już w 2002 roku. Wtedy wydawało się to ekscentrycznym przedsięwzięciem. Dzisiaj Amerykanie czerpią z tej decyzji ogromne korzyści. Czy potrafimy sobie wyobrazić, że Komisja Europejska powierza podobne zadanie prywatnej korporacji? Jeśli państwo chce budować nowoczesną gospodarkę, zapewniać sobie bezpieczeństwo i prowadzić badania, musi być obecne w kosmosie. Europa traci więc nie tylko przez koszty energii i system ETS, lecz także przez nadmiar regulacji, brak wyobraźni oraz nieufność wobec sektora prywatnego.

Trzeba też mówić o polityce społecznej. Nie może ona być obciążeniem, lecz powinna stać się atutem. Konkurując z Amerykanami i Chińczykami, musimy rozmawiać z partnerami społecznymi tak, aby rozumieli, że gramy w jednej drużynie i nie dzielimy ludzi na zwycięzców oraz przegranych. Fundamentalnych rozwiązań nie da się przygotować z dala od partnerów społecznych ani zupełnie bez ich udziału.

– Kilka dni temu Senat po raz drugi nie zgodził się na prezydenckie referendum dotyczące udziału Polski w unijnej polityce energetycznej. Sprzeciw i niepokój narastają jednak nie tylko w naszym kraju; wyraźne sygnały niezadowolenia wysyła choćby niemiecki przemysł. Wprowadzenie ETS2 zostało przesunięte, ale czy to cokolwiek rozwiązuje? Czy Unia Europejska będzie w stanie – albo zostanie zmuszona – zmienić tę politykę?

– Dwie konstatacje. Po pierwsze, stan, w którym budynki są zeroemisyjne, nie jest niczym złym. Chcielibyśmy osiągnąć taki sukces. Nie wolno jednak projektować wielkich przedsięwzięć i inwestycji w oderwaniu od rzeczywistości. Przystępując w 2004 roku do Unii Europejskiej, Polska zobowiązała się do rozwiązania problemów gospodarki wodno-ściekowej. Po kilkunastu latach okazało się, że zadanie wciąż nie zostało wykonane. Rozumny gospodarz musi najpierw zakończyć jedno wielkie przedsięwzięcie, wymagające ogromnych środków, a dopiero potem otwierać następny kosztowny front.

ETS2, czyli system opłat za emisje obejmujący między innymi budynki, można wprowadzać dopiero wtedy, gdy poradzimy sobie z wcześniejszymi zobowiązaniami. W Polsce nadal są gminy, w których wiele gospodarstw nie ma odpowiedniej kanalizacji, a nawet zapewnionych dostaw wody. Najpierw musimy dokończyć realizację wielkich zadań, które już są w toku, a dopiero później podejmować kolejne, pochłaniające gigantyczne pieniądze.

– Polski atom się opóźnia i nie mamy widoków na szybkie uruchomienie elektrowni jądrowej. Przez lata żywa była koncepcja bliższej współpracy z Ukrainą, która ma własne elektrownie atomowe. Podczas tegorocznego Forum odbędzie się natomiast spotkanie Polska – Czechy poświęcone współpracy energetycznej. Co możemy dzięki niej zyskać i co możemy zaoferować Czechom?

– Powinniśmy przede wszystkim systematycznie rozmawiać z naszymi sąsiadami – nie tylko z Czechami. Taki dialog jest kluczowy dla rozwoju Polski. Kiedy pytamy, czy rzeczywiście go prowadzimy, słyszymy zazwyczaj o spotkaniach urzędników ministerialnych, przedstawicieli wojewodów czy marszałków. Forum Polska – Czechy organizujemy po to, aby stworzyć stałą przestrzeń prawdziwej rozmowy.

Trzeba szukać synergii wszędzie tam, gdzie jest to możliwe, i słuchać tego, co mają do powiedzenia sąsiedzi. Nie oznacza to automatycznej akceptacji propozycji sprzecznych z naszym interesem. Do rozmów musimy przystępować z jasno zdefiniowaną racją stanu, która powinna być naszą busolą. Łatwiej jednak później prowadzić negocjacje, jeżeli ludzie wcześniej spotkają się na konferencji, uścisną sobie dłonie i porozmawiają na takim forum

eprasa.pl 33022f5d4b

jak nasze w Karpaczu. Tego rodzaju kontakty zawsze procentują.

– Nowy premier Wielkiej Brytanii Andy Burnham zapowiada reindustrializację kraju. Unia Europejska działa nadal pod hasłem dekarbonizacji, ale podejrzewam, że wkrótce pojawi się postulat zarówno reindustrializacji, jak i rekarbonizacji Europy. Jest Pan zwolennikiem oparcia bezpieczeństwa energetycznego również na atomie, a węgiel traktuje raczej jako paliwo przejściowe. Czy jest szansa na zmianę polityki, większe wykorzystanie węgla i uratowanie polskiego górnictwa?

– Zmiana jest nieunikniona. Jesteśmy świadkami końca epoki optymistycznej, wręcz hurraoptymistycznej, globalizacji. Rewolucja, którą przyniósł Donald Trump, wynika przede wszystkim z tego, że Amerykanie zrozumieli, iż nie wystarczy, aby smartfon kosztował dolara – trzeba jeszcze mieć pracę, żeby tego dolara zarobić. Tymczasem menedżerowie wielkich korporacji, wynagradzani za krótkoterminowe wyniki, w ramach agresywnej optymalizacji wyprowadzali produkcję i całe firmy ze Stanów Zjednoczonych.

Ogromne inwestycje trafiały do Chin, Wietnamu, Indonezji, ale również do Europy Wschodniej. Korporacje likwidowały miejsca pracy w USA, a jednocześnie co roku setki tysięcy imigrantów zasilały tamtejszy rynek, gotowe pracować za niższe wynagrodzenia. Te dwa zjawiska musiały wywołać zmianę. Peter Turchin już w 2012 roku pisał w książce „Czasy ostateczne", że jest ona nieunikniona: tworzą się kontrelity, ludzie tracą pracę, są wydziedziczani i spychani na peryferie świata, którego wcześniej byli autentyczną częścią.

Czy w Europie może być inaczej? Firmy, które wyprowadziły stąd podstawową działalność, muszą wrócić i znów tworzyć miejsca pracy. Nie wszystkie powstaną przecież w centrach danych – te zresztą, ze względu na ceny energii, nie będą w Europie budowane szczególnie chętnie – ani w przemyśle zbrojeniowym, który obecnie ma ogromne zamówienia. Europa stanie wobec zjawiska podobnego do amerykańskiego.

Widać to po skali społecznego niezadowolenia: nie tylko w Europie Środkowej, między innymi w Czechach, Rumunii i Polsce, lecz także we Francji, Hiszpanii, Niemczech czy Włoszech. Potwierdzają to badania sondażowe. Praca musi wrócić do Europy, bo nie można mówić o rozwoju, przyszłości i godnym życiu, jeżeli jej nie ma.

– Na jakich tematach poza energetyką skupi się tegoroczne Forum? Być może jest jeszcze za wcześnie na konkluzje, ale jakich konkretnych rezultatów oczekuje Pan po spotkaniu?

– Tak jak w poprzednich latach mamy ograniczone aspiracje: chcemy przede wszystkim dobrze przygotować rozmowę ludzi, którzy przyjmują nasze zaproszenie. Nie zamierzamy wymuszać deklaracji ani nakłaniać uczestników do przyjmowania naszego punktu widzenia. Sami muszą odpowiedzieć sobie na pytania, o których rozmawialiśmy.

Program obejmie ponad 600 wydarzeń, więc przestrzeń dialogu nie ogranicza się do gospodarki. Będziemy rozmawiać również o polityce międzynarodowej, bezpieczeństwie, ochronie zdrowia i środowiska. Dla tak różnych gości trudno byłoby formułować jednolity przekaz. Dawno z tego zrezygnowaliśmy i dzięki temu udało nam się uniknąć niepotrzebnych sporów oraz zachęcić uczestników, aby wracali do Karpacza. Forum nie ma być organizacją opowiadającą się po jednej stronie ideowego czy politycznego sporu.

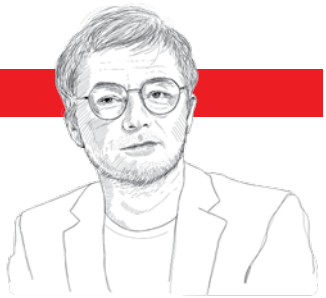
Zygmunt Berdychowski – poseł na Sejm I i III kadencji, założyciel Fundacji „Instytut Studiów Wschodnich", przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.

AMERYKANIE ZROZUMIELI, IŻ NIE WYSTARCZY, ABY SMARTFON KOSZTOWAŁ DOLARA – TRZEBA JESZCZE MIEĆ PRACĘ, ŻEBY TEGO DOLARA ZAROBIĆ.

DO ROZMÓW Z SĄSIADAMI MUSIMY PRZYSTĘPOWAĆ Z JASNO ZDEFINIOWANĄ RACJĄ STANU, KTÓRA POWINNA BYĆ NASZĄ BUSOLĄ.

eprasa.pl 33022f5d4b

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA



Zgredek bohater

Jan Wróbel

Portal Londynek.net relacjonował w 2022 roku problem miejsca pamięci na malowniczej skale nad malowniczą plażą Freshwater West, hrabstwo Pembrokeshire, Walia. Otóż fani pochowanego tam Zgredka przynosili skarpetki i inne symbole przypominające jednego z bohaterów sagi o Harrym Potterze. Bohatera poległego – właśnie na tej skale.

Oto bowiem obrońcy natury upomnieli czcicieli Zgredka, że przynoszone przez nich artefakty mogą negatywnie wpłynąć na unikalne środowisko wybrzeża. „W maju tego roku [2022] organizacja zasugerowała nawet, że należy przenieść symboliczny grób Zgredka w inne miejsce. Ten pomysł spotkał się z ogromnym sprzeciwem". Ostatecznie: „Po kilku miesiącach analiz i zbierania opinii postanowiła pozostawić symboliczny grób Zgredka na plaży Freshwater West". Skończyło się apelem o niepozostawianie przedmiotów.

To znaczy niezupełnie skończyło. Nieoceniona BBC podała właśnie, że pamięć Zgredka omal nie została zszargana. Pod (pod! nawet nie p r z e z) miejscem, na którym zebrane kamienie upamiętniają Zgredka, miał przebiegać kabel interkonektora Greenlink, inwestycji wartej ponad dwa miliardy złotych. Dalszy ciąg tej historii jest oczywisty. Protesty, mejle, imba... I zmiana decyzji projektantów. Teraz wielki kabel przejdzie blisko autentycznych wykopalisk archeologicznych, za to dalej od nagrobka Zgredka.

WIELKI KABEL PRZEJDZIE BLISKO AUTENTYCZNYCH WYKOPALISK ARCHEOLOGICZNYCH, ZA TO DALEJ OD NAGROBKA ZGREDKA.

W sumie, można powiedzieć, fajny przykład zwycięstwa społeczeństwa obywatelskiego nad wielkim kapitałem. Chyba że realistycznie przyjmiemy za pewnik naciski samego hrabstwa Pembrokeshire. Nagrobek wiernego, acz niezbyt mądrego, skrzata przyciąga bowiem rzesze turystów.

I teraz czas na refleksję natury moralnej i egzystencjalnej. Tylko jakiej? Tej, która wskazuje, jak niezmienna jest natura homo sapiens? Skoro przestały emocjonować nagrobki świętych – też przecież nieraz postawionych w miejscach fantazyjnych – to pustkę zapełnią „nagrobki" skrzatów? Czy tej, która dostrzega w czczeniu bohaterów bajek odmianę infantylnej wiary w „psiecko"? Czy jednak tę, która westchnie z ulgą: ludzie pochylają głowy przez co prawda fikcyjnymi postaciami, ale, jednak, postaciami walczącymi o wygraną dobra nad złem?

Tyle się złego mówi o polaryzacji. A tu, proszę, ułatwia ona decyzję, co myśleć o nagrobku Zgredka. Otóż autorka cyklu powieści o Harrym Potterze została swego czasu brutalnie, jako to w sekcie Me Too jest w zwyczaju, zaatakowana przez równościowe hufce. Ośmieliła się na krytykę transgenderyzmu. I nic jej nie pomogło, że tak w ogóle to wspierała geje i lesbijki. Cóż, nie tak wspierała, jak powinna. Atak na J.K. Rowling był jak huragan, łącznie z bojkotem, wyzwiskami etc.

Czyli, Rowling jest nasza, dobra, bo opluta jadem przez złych. Zgredek też jest więc nasz. Co za ulga.

eprasa.pl 33022f5d4b



Fot. M. Zegliński (2)

Solidarność wznawia zbieranie podpisów

pod wnioskiem o referendum klimatyczne

NSZZ „Solidarność” wznowił akcję zbierania podpisów pod inicjatywą przeprowadzenia ogólnokrajowego referendum dotyczącego unijnej polityki klimatycznej i tzw. Zielonego Ładu. Proponowane pytanie w obywatelskim wniosku brzmi: „Czy jest Pani/Pan za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w Europejskim Zielonym Ładzie?”.

Barbara Michałowska

Związek rozpoczął zbiórkę podpisów już w 2024 roku.

Precz z Zielonym Ładem

Był to kolejny etap działań Związku, który przed negatywnymi skutkami polityki klimatycznej UE ostrzega już od 20 lat. To Solidarność od lat uświadamia Polaków, że obecne regulacje oznaczają wzrost kosztów energii i transportu, dodatkowe obciążenia dla przedsiębiorstw i rolnictwa oraz osłabienie konkurencyjności polskiego przemysłu.

Obecnie obywatele naszego kraju coraz dotkliwiej odczuwają obciążenia związane z tzw. Zielonym Ładem. Solidarność wyszła więc z inicjatywą, by to oni bezpośrednio wypowiedzieli się na ich temat, właśnie za pomocą referendum.

Inicjatywę referendalną przerwano jednak po tym, jak z obietnicą własnej wystąpił prezydent Karol Nawrocki.

Inicjatywa prezydenta

Jeszcze jako kandydat na prezydenta Karol Nawrocki podpisał 13 lutego 2025 roku porozumienie programowe z NSZZ „Solidarność”. Zobowiązał się w nim m.in. do podejmowania działań ograniczających negatywne skutki Europejskiego Zielonego Ładu oraz do skierowania do Senatu wniosku o przeprowadzenie referendum

eprasa.pl 33022f5d4b

dotyczącego unijnej polityki klimatycznej. Dążenie do przeprowadzenia referendum w sprawie polityki klimatycznej stało się więc jednym z tematów działań prezydenta Karola Nawrockiego.

Prezydent 7 maja 2026 roku skierował do Senatu projekt postanowienia o zarządzeniu referendum. Zaproponowane wówczas pytanie brzmiało: „Czy jest Pani/Pan za realizacją polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?". Senat 20 maja nie wyraził zgody na przeprowadzenie referendum, wskazując m.in., że pytanie, które chciał postawić prezydent, nie było merytoryczne i sugerowało odpowiedź.

Prezydent wobec tego nie zrezygnował z inicjatywy i 23 lipca 2026 roku skierował do Senatu nowy wniosek, tym razem z innym, krótszym pytaniem: „Czy jest Pan/Pani za realizacją przez Polskę polityki klimatycznej Unii Europejskiej?". Jak argumentował, nowa propozycja była odpowiedzią na wcześniejsze zastrzeżenia senatorów dotyczące sformułowania pytania.

Ten wniosek jednak również nie uzyskał wymaganej zgody Senatu. 6 sierpnia 2026 roku izba ponownie odmówiła zgody na zarządzenie referendum. Za odrzuceniem wniosku opowiedziało się 59 senatorów, przeciw było 32, a jedna osoba wstrzymała się od głosu.

Powrót do obywatelskiej ścieżki

W tej sytuacji Solidarność wznowiła własną zbiórkę podpisów pod obywatelskim referendum. Mówił o tym podczas konferencji prasowej w dniu 7 sierpnia Piotr Duda, przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".



– Referendum ogólnokrajowe – czy to obywatelskie, czy rozpisane przez prezydenta za zgodą Senatu – jest najwyższą formą dialogu ze społeczeństwem. Niestety, obecnie rządzący nie chcą z tego skorzystać, ale my jako Solidarność mamy w tym temacie doświadczenie. Dlatego, że w 2012 roku zebraliśmy ponad 3 mln podpisów w sprawie referendum obywatelskiego dotyczącego niepodwyższania wieku emerytalnego – powiedział.

Zebranie 500 tys. podpisów **nie oznacza** automatycznego przeprowadzenia referendum – o jego zarządzeniu w przypadku inicjatywy obywatelskiej zdecyduje Sejm.

Podkreślił, że Związek dysponuje już 450 tys. podpisów.

– Dozbieramy nie tylko potrzebną liczbę do 500 tys. podpisów, ale zdecydowanie więcej i nie pozwolimy zapomnieć o polityce klimatycznej, która doprowadza do likwidacji polskiej gospodarki, do likwidacji miejsc pracy, do zubożenia naszych portfeli. Złożymy u pana marszałka Włodzimierza Czarzastego odpowiednią ilość podpisów, odbędzie się debata w Sejmie i zobaczymy, jak wówczas zachowają się posłowie, którzy też są tacy obywatelscy – ogłosił przewodniczący Komisji Krajowej.

Czekamy na debatę

Zebranie 500 tys. podpisów nie oznacza automatycznego przeprowadzenia referendum – o jego zarządzeniu w przypadku inicjatywy obywatelskiej zdecyduje Sejm.

Do tego faktu odniósł się niedawno na antenie TV Trwam Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność":

– Wiemy, że będą próby odrzucenia tego wniosku na podstawie niezebranych podpisów. Nie wiemy jednak, jak odniosą się do tego wniosku posłowie. Przypomnijmy, że wniosek o referendum w sprawie wieku emerytalnego, pod którym Solidarność zebrała ponad dwa miliony podpisów, też został odrzucony. Ale odbyła się w Sejmie debata. I ostatecznie Solidarność wygrała – wiek emerytalny został przywrócony. Myślę, że w tej sytuacji będzie dokładnie tak samo.

eprasa.pl 33022f5d4b

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO



Weimar – esencja dobrych Niemiec

Zdzisław Krasnodębski

Gdy przed wielu laty – w czasach głębokiego PRL – zwierzałem z niemieckim przyjacielem – znanym socjologiem – Kaplicę Zygmuntowską, stwierdził, że nie ma takich miejsc w Niemczech. To nie do końca prawda. Sądził tak, bo należał do pokolenia „uciekających od historii". Nigdy zapewne nie był w Spirze, w której znajdują się grobowce wielu królów niemieckich, ani w Quedlinburgu, ani w katedrze w Magdeburgu. Nie odwiedzał także Pomnika Kyffhäuser, gdzie Fryderyk Rudobrody ciągle czeka na swój powrót, ani Zamku Wartburg. I choć mieszkał na skraju Lasu Teutoburskiego, gdzie niedaleko Detmold wznosi się wielki posąg Hermanna (Arminiusza) i skąd już niedaleko jest do Porta Westfalica, gdzie zbudowano jeden z największych niemieckich monumentów narodowych – pomnik Cesarza Wilhelma I – zdawał się ich nie dostrzegać. Prawdą jest natomiast to, że miejsca pamięci w Niemczech są jeszcze bardziej rozproszone niż w Polsce, choćby dlatego, że władców i państw mieli bez liku – przed epoką napoleońską było ponad 300 państw i państewek niemieckich – a tradycje Cesarstwa od czasów Habsburgów przejęła dzisiejsza Austria.

Sarkofagi dwóch największych niemieckich poetów Johanna Wolfganga Goethego i Fryderyka Schillera znajdują się w Weimarze, w krypcie książęcej. Sarkofag Schillera jest pusty, gdyż nie zadbano zaraz po jego śmierci o jego szczątki, a badania genetyczne wykazały niedawno, że jego rzekomo odnaleziona czaszka nie należała do niego, że to nie w niej zrodzili się „Zbójcy", „Don Karlos" czy „Maria Stuart". Schiller nazbyt był niewygodny, buntowniczy, Goethe – bardziej ugodowy, potrafił się w życiu „ustawić", zawczasu zadbał też lepiej o żywot pośmiertny.

Weimar to miejsce mityczne, esencja „dobrych Niemiec", niemieckiej kultury mieszczańskiej, miejsce narodzin „klasycyzmu weimarskiego". Kto tej esencji poszukuje, ten Weimaru nie ominie. Także w Polsce, zanim nastąpiły kolejne reformy edukacji, każdy uczeń słyszał o Weimarze. Być może bardzo dobry film Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna", fetowany przez „Gazetę Wyborczą", pokazujący wizytę Thomasa Manna w Weimarze w 1949 r., przypomni go korpoludkom.

Historia tego, jak sześciotysięczne, prowincjonalne miasteczko mogło uzyskać taką rangę w kulturze niemieckiej i światowej, jest intrygująca. Wszystko zaczyna się od tego, że księżna Anna Amalia i jej syn i następca książę Karl August postanowili zostać mecenasami sztuki. Ale decydujący był moment, gdy młody Karl August zaprosił Goethego do Weimaru, już wtedy sławnego autora po sukcesie „Götza von Berlichingen" i „Cierpień młodego Wertera", czyniąc go swoim ministrem i tajnym radcą. I ten – pomijając dwuletnią eskapadę do Włoch, pozostał w Weimarze do końca życia.

> Dla powstania mitu Weimaru kluczowe znaczenie miało **wycofanie się Goethego** z bieżącej polityki, a także przybycie Schillera do Weimaru.

Dzieje Weimaru pozwalają także lepiej pojąć ów dziwny sposób istnienia politycznego Niemiec, który tak mało zrozumiały jest dla Polaków – liczne karłowate, absolutystyczne państewka pod wspólnym dachem cesarstwa, należące do szerokiej, w miarę jednolitej przestrzeni kulturowej i językowej, udzielni władcy powiązani ze sobą rodzinnie i kulturowo. Księstwo Saksonia-Weimar, potem księstwo i wielkie księstwo Saksonia-Weimar-Eisenach, które przetrwało aż do 1918 r., nigdy nie miało pretensji do bycia „suwerennym", weimarscy książęta nie mieli także takich ambicji, jak inna, albertyńska, linia Wettynów, którzy awansując niepomiernie dzięki

eprasa.pl 33022f5d4b

koronie polskiej, uczynili z Drezna „Florencję północy" i rywalizowali o dominację w krajach niemieckich z Hohenzollernami, stawiającymi na twardą siłę militarną, nie na soft power kultury. Karl August, będąc władcą absolutnym nad swoimi trzystu tysiącami poddanych, podlegał jednocześnie zwierzchnictwu cesarza, był także pruskim generałem i w tym charakterze brał udział w kampanii przeciw rewolucyjnej Francji w 1792 roku, zbierając ze sobą Goethego, który skrzętnie opisał tę kampanię.

Madame de Staël, córka francuskiego ministra Neckera, przesadzała, uznając Niemców za naród myślicieli i poetów. Była to raczej kraina małych, kieszonkowych tyranów i sfrustrowanych niedoszłych pastorów, jak Hölderlin, prześladowanych za poglądy ludzi stanu trzeciego, jak Schiller i Goethe (obydwaj zostali ostatecznie uszlachceni).

W tym miasteczku, gdzie obok teatru dworskiego, w którym Goethe i Schiller wystawiali swoje sztuki, gdzie Goethe był dyrektorem, a Schiller reżyserem, pasły się krowy, a okna domu Schillera – dziś stojącego przy jednej z głównych ulic – wychodziły na pastwiska i pola, powstały dzieła znane na całym świecie. Potwierdza się więc, że w małych miasteczkach nikt nie jest skazany na małość, na myślenie na małą miarę. To w Weimarze zrodził się „kult wewnętrzności", „antypolityka" niemieckiego Bildungsbürgertum, jakże odmiennego od polskiej inteligencji, może tylko z wyjątkiem paru nielicznych postaci, jak niezapomniany Paweł Hertz. Wychowanie i kultura, doskonalenie duchowe miały być odpowiedzią na francuską rewolucję polityczną; estetyka miała triumfować nad polityką, lecz ostatecznie mit Weimaru inspirował później ideę rewolucji konserwatywnej. Friedrich Lienhard, piewca etnicznego nacjonalizmu, tak rozpoczynał swoje trzytomowe dzieło „Droga do Weimaru": „Droga do Weimaru to droga ku twórczej ciszy. Droga do Weimaru to subtelne zdystansowanie się od cielesności świata zjawisk, a jednocześnie głębokie współuczestnictwo w losach i istocie bliźnich oraz w barwnej grze sił twórczych".

Według Herfrieda Münklera dla powstania mitu Weimaru kluczowe znaczenie miało wycofanie się Goethego z bieżącej polityki (czy raczej administracji), a także przybycie Schillera do Weimaru oraz chwilowy rozkwit Uniwersytetu w Jenie, utrzymywanego wspólnymi siłami przez państewka Turyngii, by kształcić swoje kadry urzędnicze i duchowne. Wykładali tam i Fichte, i Hegel, i Schiller.

Dziś Weimar jest piękny i pełen fascynujących obiektów, zachęcających do refleksji. Jednak tak jak wiele innych miejsc w Niemczech starannie jest omijany przez polskich turystów. Niemcy nie są krajem, gdzie jedzie się na urlop, lecz do pracy na budowie lub w domu opieki. Zapewne także dlatego, że dla wielu Polaków esencją niemieckości są Auschwitz lub Treblinka i Warszawa lat okupacji, a nie „weimarski klasycyzm".

Dzisiaj Weimar to jednak nie tylko miejsce, gdzie można zwiedzić dom Goethego i Schillera, zobaczyć, gdzie mieszkali Wieland, Bach i Liszt, zachwycić się rokokową biblioteką księżny Anny Amalii; tylko archiwum Nietzschego jest niestety na razie zamknięte z powodu renowacji.

Weimar to nie tylko zabytki, lecz całkiem jeszcze niedawna przeszłość, już w zasadzie nieistniejące tak niedawne Niemcy – czyste, schludne, jednolite, homogeniczne. Paradoksalnie te dawne Niemcy, które istniały w Republice Bońskiej, teraz przetrwały w takich niewielkich miastach dawnej NRD.

Historia Weimaru potwierdza tezę Thomasa Manna, że nie było Niemiec dobrych i złych, lecz że te dobre zeszły na manowce. Obok Weimaru okresu „klasycznego" i Weimaru „wieku srebrnego", gdy kapelmistrzem miejscowej orkiestry był Franciszek Liszt, był jeszcze „trzeci Weimar" – nazistowski, a potem jeszcze czwarty – komunistyczny. To tutaj uchwalono konstytucję weimarską. Z losami pierwszej, tak krótkotrwałej i nielubianej niemieckiej demokracji można się zapoznać w Domu Republiki Weimarskiej, który otwarto w 2019 r. przy Placu Teatralnym. Weimar był także mitycznym miejscem nacjonalistów i narodowych socjalistów i silnym ich ośrodkiem. Także oni powoływali się na Goethego, budując narodowosocjalistyczną ideologię heroicznego idealizmu. Baldur von Schirach, szef młodzieżówki NSDAP, poza „Mein Kampf" Hitlera i „Hymnami" Hölderlina polecał niemieckiej młodzieży lekturę „Fausta" Goethego: „Powiedz mi, Niemcze, jaka jest najbardziej typowa niemiecka książka? – To właśnie « Faust »". Podobnie Goebbels, doktor germanistyki i filozofii, wyznawał kokieteryjnie:

Dla wielu Polaków esencją niemieckości są **Auschwitz lub Treblinka** i Warszawa lat okupacji, a nie „weimarski klasycyzm".

eprasa.pl 33022f5d4b

„Noszę w teczce tylko jedną książkę, « Fausta ». Czytam pierwszą część. Na drugą jestem za głupi".

Komuniści również wpisywali się w tradycję Weimaru. Walter Ulbricht tak mówił o „Fauście": „Goethe pozostawia otwartą kwestię, czym stanie się wspólne dzieło wyzwolonego narodu na wolnej ziemi. Właściwie brakuje tu jeszcze trzeciej części « Fausta ». Goethe nie mógł jej napisać, ponieważ czas na to jeszcze nie był dojrzały. Dopiero ponad sto lat po tym, jak Goethe musiał na zawsze odłożyć pióro, cały lud pracujący Niemieckiej Republiki Demokratycznej zaczął pisać tę trzecią część « Fausta » swoją pracą, swoją walką o pokój i socjalizm. Zwycięstwo socjalizmu w NRD oraz zjednoczenie całego narodu niemieckiego w jednolitym, miłującym pokój, demokratycznym i socjalistycznym państwie zamknie tę trzecią część « Fausta »" (cyt. za: „Der Spiegel", nr 22/1962). No cóż, chyba jeszcze na tę trzecią część poczekamy.

W Weimarze w 1919 r. została również założona przez Waltera Gropiusa słynna szkoła architektury, wzornictwa i rzemiosła Bauhaus, do której tradycji postanowiła nawiązać Ursula von der Leyen, ogłaszając unijny program „Nowy Bauhaus". W 1925 r. pod wpływem krytyki mieszkańców i nacisku władz Bauhaus, podejrzewany o „bolszewizm kulturowy", przeniósł się do Dessau. Muzeum w Weimarze skupia się przede wszystkim na tym pierwszym okresie jego istnienia. Ta architektura zbytnio przypomina jednak to, co serwowano nam w PRL, a także budynek Muzeum Sztuki Współczesnej w Warszawie, a porównanie z rokokową biblioteką księżny Anny Amalii pokazuje, że postęp w architekturze jest nader wątpliwy. Szkoda, że von der Leyen do nie sięgnęła innych, starszych wzorów. Tym bardziej że również na tym przykładzie można studiować skomplikowane losy niemieckiej polityki i kultury. Bauhaus uchodzi za symbol postępu i nowoczesności w architekturze i wzornictwie, ale postęp i nowoczesność to także komunizm i narodowy nacjonalizm. Wśród studentów Bauhausu były komórki komunistyczne i narodowosocjalistyczne. Jej drugi po Gropiusie dyrektor Mies van der Rohe, zanim został słynnym architektem amerykańskim, brał udział w konkursach architektonicznych i starał się o zlecenia państwowe w III Rzeszy, podpisał także w 1934 r. słynny „Apel twórców kultury" wspierający Hitlera. Jego poprzednik Hannes Meyer był komunistą, w 1930 r. wyemigrował do Związku Sowieckiego, gdzie wraz z kilkoma dawnymi współpracownikami z Bauhausu realizował wiele projektów, potem działał jako architekt w Meksyku, a po wojnie przez pewien czas pracował w NRD. Jeden z uczniów Bauhausu Fritz Ertl, członek SS, zaprojektował w tym oszczędnym i funkcjonalnym stylu obóz w Auschwitz, inny – Franz Erlich, komunista, siedział wprawdzie przez pewien czas w Buchenwaldzie, ale potem pracował jako architekt dla SS, zajmując się również projektami obozów koncentracyjnych, by po wojnie wstąpić do SED i pracować nad „socjalistyczną odbudową" zniszczonych miast.

Historia Weimaru potwierdza tezę Thomasa Manna, że **nie było Niemiec dobrych i złych**, lecz że te dobre zeszły na manowce.

Jak więc widać, Weimar dostarczyć może wiele impulsów do refleksji, ale ma także coś dla ciała. Kuchnia Turyngii jest tradycyjna, ciężka, nie dla wegetarian, ale smaczna. Typowe są kluski turyńskie z roladą wołową lub pieczenią z jelenia, z sosem i z czerwoną kapustą, której zapach latem można poczuć również na ulicach miasta. Do tego można wypić dobre lokalne piwo. Natomiast restauracja „Anna Amalia" przy słynnym Hotelu Elephant, gdzie w 1816 r. zatrzymała się Charlotte Kestner z domu Buff, uwieczniona w „Cierpieniach młodego Wertera", a potem opisana przez Thomasa Manna, jest jedną z najlepszych i najwybitniejszych w kraju, także według kryteriów Michelin. Francuzi ciągle bowiem wyznaczają miary smaku kulinarnego, także w Niemczech. W Hotelu Elephant jest mniej światowo i elegancko niż w Grand Hotel w Cabourg, gdzie z wdziękiem kultywuje się atmosferę belle époque, ale następcy Madera (patrz „Lotta w Weimarze") z równym oddaniem kontynuują lokalną tradycję niemiecką, bez francuskiej finezji, ale gruntownie, z niemiecką solidnością i powagą, zgodnie z duchem miejsca.

Weimar był **mitycznym miejscem** nacjonalistów i narodowych socjalistów i silnym ich ośrodkiem.

eprasa.pl 33022f5d4b

KARUZELA BLOGERAMI

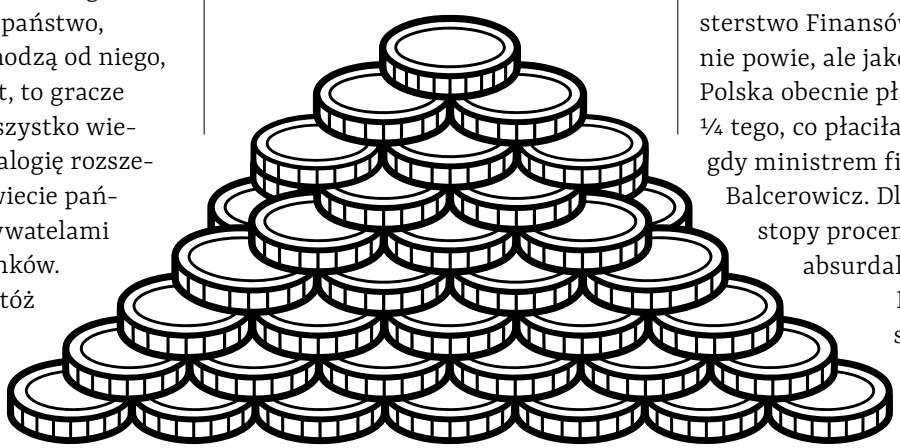
@FIAT MONEY

JAK ODSETKI OD DŁUGU (NIE) ZATOPIĄ BUDŻET I ZBANKRUTUJĄ NASZE DZIECI I WNUKI

Straszenie długiem, deficytem i dziurą budżetową to najprostszy sposób zebrania kliknięć, więc ich popularność w prasie i internecie nie słabnie. Słyszeliście, że 1/3 wydatków państwa idzie na same odsetki? Pewnie tak. Jest to liczba zmyślona (prawdziwa to 10%), ale to dopiero początek problemów z tymi narracjami.

Brzmi to źle, nieprawdaż? W naszej głowie automatycznie pojawia się analogia do firmy przytłoczonej kredytami bankowymi, a może gorzej: pożyczkami od mafii na wysoki procent. Państwo jednak jest jedynym we wszechświecie emitentem PLN, więc po co w ogóle je „pożycza"? Jak pogodzić te dwie perspektywy?

Otóż zachęcam do spróbowania innej analogii: zamiast o firmie, pomyślmy o państwie emitencie pieniądza jako o bankierze w grze Monopoly. Bankier to państwo, pieniądze graczy pochodzą od niego, jak bankier ma deficyt, to gracze mają nadwyżkę. To wszystko wiemy. Ale musimy tę analogię rozszerzyć: bo w realnym świecie państwo rozlicza się z obywatelami za pośrednictwem banków. Co wtedy się dzieje? Otóż jak państwo chce dać obywatelowi 800 Plus, to instruuje jego bank, żeby zmienił mu cyferki w bilansie, w kategorii „depozyt", o 8 i dwa zera. Na tym jednak nie koniec: dla banku zwiększenie depozytu oznacza zwiększenie jego zobowiązań: teraz winny jest klientowi państwowe PLN, których nie emituje. Dlatego państwo musi zadośćuczynić tę operację bankowi i daje mu państwowe PLN na koncie w NBP: to też cyferki, ale takie, których bank wpisać nie może, może je wpisać tylko NBP, bo to zapisy w bilansie NBP oznaczające, że bank ma teraz na koncie więcej państwowych PLN. A bank natychmiast myśli: ja chciałbym, żeby te PLN przynosiły odsetki. No i w tym momencie... Ministerstwo Finansów emituje obligacje o wysokości 800 PLN na pokrycie „deficytu". Bank z ulgą pozbywa się PLN, a ekonomiści są w szoku, że znów udało się cudem sfinansować deficyt.



Rys. Adobe Stock

Wiemy więc, dlaczego bank kupuje obligacje. Ale dlaczego emituje je państwo? Przecież nie żeby zdobyć PLN, bo NBP emituje PLN z ogromną łatwością. Otóż, to może szokujące, ale żeby... w systemie bankowym stopa procentowa była wyższa niż 0%. To jedyny sposób.

Obecnie NBP chce mieć stopy procentowe na wysokości około 4%. Zgadnijcie, ile muszą płacić obligacje państwa, żeby to się udało? Zgadliście: też około 4%. Stąd się bierze „koszt obsługi długu"! To paradoks, bo mówią nam o odsetkach, jakby to był przymus rynkowy albo kara za niegospodarność państwa, a to koszt, który państwo narzuca samo sobie, bo chce mieć dodatnie stopy procentowe.

Czy więc odsetki zbankrutują budżet? Nie, bo oznaczałoby to, że NBP chce zbankrutować Ministerstwo Finansów. Nikt Wam tego nie powie, ale jako odsetek PKB Polska obecnie płaci obywatelom ¼ tego, co płaciła około roku 2000, gdy ministrem finansów był Leszek Balcerowicz. Dlaczego? Bo wtedy stopy procentowe były na dość absurdalnym poziomie 25%. Podsumowując: odsetki to dochód obywateli i wynoszą tyle, ile zdecyduje NBP.

eprasa.pl 33022f5d4b

Pokój czy KONTROLA?

Spór o przyszłość cieśniny Ormuz po amerykańskiej wojnie z Iranem



Rozmowy pokojowe na Bliskim Wschodzie w coraz większym stopniu ogniskują się wokół przyszłości cieśniny Ormuz. Administracja Donalda Trumpa uznaje jej ponowne otwarcie za jeden z **kluczowych warunków** szerszego porozumienia z Iranem. Utrzymujące się napięcia amerykańsko-irańskie oraz wahania na globalnych rynkach energii nadal podtrzymują atmosferę niepewności, która rozlewa się daleko poza Bliski Wschód.

Tomasz Winiarski

Fot. Adobe Stock

Choć w kwietniu 2026 roku Stany Zjednoczone i Iran zawarły zawieszenie broni, porozumienie okazało się nietrwałe. Wzajemne ataki zostały wznowione, a w Waszyngtonie trwa debata nad dalszą strategią wobec Iranu oraz bezpieczeństwem kluczowych szlaków morskich na Bliskim Wschodzie.

W środku tych debat znajduje się wąski pas wody pomiędzy Iranem a Omanem – cieśnina Ormuz, miejsce, przez które każdego dnia przepływa znacząca część światowego handlu ropą i gazem, a także innych surowców i towarów krytycznie ważnych dla funkcjonowania współczesnej światowej gospodarki.

Wraz z ponowną eskalacją konfliktu akwen ten ponownie stał się jednym z głównych punktów napięcia, a bezpieczeństwo żeglugi pozostaje przedmiotem szczególnej uwagi Stanów Zjednoczonych.

Wojna z Iranem pokazała, jak ogromny wpływ na światową gospodarkę może mieć destabilizacja jednego, choć strategicznego, szlaku morskiego. Zakłócenia żeglugi przez Ormuz błyskawicznie przełożyły się na wzrost cen energii i towarów, niepewność na rynkach oraz obawy przed kolejnym globalnym kryzysem gospodarczym. W efekcie kwestia bezpieczeństwa cieśniny przestała być wyłącznie problemem wojskowym. Stała się aktualnie jednym z najważniejszych zagadnień geopolitycznych świata.

Dla Donalda Trumpa stawką jest jednak coś więcej niż bezpieczeństwo transportu morskiego.

Uregulowanie sytuacji wokół cieśniny Ormuz ma być dowodem, że Stany Zjednoczone nie tylko wygrały konflikt z Iranem, ale również utrzymały swoją pozycję na Bliskim Wschodzie. Pytanie pozostaje jednak otwarte: czy Waszyngton zdoła przekonać do tej wizji swoich sojuszników oraz całą społeczność międzynarodową, czy też projekt ten stanie się zarzewiem kolejnych napięć w tej części świata, która od dekad należy do najbardziej niestabilnych.

Stan negocjacji

Do początku sierpnia nie udało się osiągnąć trwałego porozumienia między Stanami Zjednoczonymi a Iranem w sprawie cieśniny Ormuz. Mimo prowadzonych przy mediacji Omanu rozmów dotyczących jej przyszłości obie strony pozostają przy swoich stanowiskach, a perspektywa zawarcia ostatecznej umowy wciąż jest niepewna.

Pod koniec lipca Iran odrzucił omańską propozycję podziału cieśniny Ormuz na dwa równorzędne szlaki żeglugowe, z których każdy obsługiwałby połowę światowego ruchu statków przepływających przez akwen.

Wiceminister spraw zagranicznych Iranu Kazem Gharibabadi poinformował wówczas w wywiadzie dla irańskiej telewizji państwowej, że Teheran przedstawił własny kontrprojekt zakładający tymczasowe rozwiązanie, zgodnie z którym wszystkie jednostki miałyby przepływać wyłącznie przez irańskie wody terytorialne. Jak podkreślił, „polityką Iranu jest, aby cieśnina Ormuz nigdy nie powróciła do sytuacji sprzed wojny".

Stanowisko władz w Teheranie dodatkowo zaostrzył wiceszef sztabu irańskiej armii, kontradmirał Habibollah Sayyari. Oświadczył on, że „żaden ruch w cieśninie Ormuz nie będzie odbywał się bez zgody Iranu", dodając, że irańska marynarka wojenna sprawuje pełną kontrolę nad wschodnią częścią cieśniny, północnym Oceanem Indyjskim oraz Zatoką Omańską.

Biały Dom utrzymuje, że rozmowy dyplomatyczne przynoszą postępy. Na początku sierpnia Donald Trump zapowiedział rychłe ponowne otwarcie cieśniny Ormuz i zasugerował, że porozumienie z Iranem może zostać zawarte w ciągu kilku dni.

– Prowadzimy bardzo dobre rozmowy – powiedział Trump.

Według doniesień medialnych omawiany projekt porozumienia przewiduje, że statki wpływające do Zatoki Perskiej korzystałyby z irańskich wód terytorialnych, natomiast jednostki opuszczające akwen poruszałyby się przez wody Omanu. Plan zakłada również brak opłat tranzytowych oraz oczyszczenie Ormuzu z irańskich min. Teheran zaprzeczył jednak, jakoby prowadził bezpośrednie negocjacje z Waszyngtonem.

Ostrożny optymizm wyrażają również źródła dyplomatyczne.

5 sierpnia rzecznik irańskiego MSZ Esmail Baghaei poinformował,

KWESTIA BEZPIECZEŃSTWA CIEŚNINY PRZESTAŁA BYĆ WYŁĄCZNIE PROBLEMEM WOJSKOWYM. STAŁA SIĘ AKTUALNIE JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH ZAGADNIEŃ GEOPOLITYCZNYCH ŚWIATA.

że Iran i Oman uzgodniły współrzędne geograficzne trasy żeglugowej przez cieśninę Ormuz, a wspólne oświadczenie w tej sprawie jest finalizowane. Baghaei zaznaczył jednak, że samo porozumienie nie gwarantuje bezpieczeństwa na tym strategicznym szlaku.

Podstawą prowadzonych obecnie negocjacji amerykańsko-irańskich pozostaje podpisane 17 czerwca wstępne porozumienie kończące konflikt między tymi krajami. Dokument przewidywał wówczas natychmiastowe zakończenie działań wojennych oraz ponowne otwarcie cieśniny Ormuz.

Obejmuje on 14 punktów, w tym zobowiązanie Iranu do powstrzymania się od rozwoju broni jądrowej i zneutralizowania zapasów wzbogaconego uranu. Podpisanie dokumentu uruchomiło również 60-dniowy okres negocjacji nad ostatecznym traktatem, który miałby zostać zatwierdzony przez Radę Bezpieczeństwa ONZ.

Perspektywa zawarcia trwałego porozumienia budziła jednak sprzeciw części polityków Partii Republikańskiej. Obawiali się oni przede wszystkim skali korzyści finansowych, jakie Teheran mógłby uzyskać po podpisaniu pełnego traktatu pokojowego. Zwracali również uwagę, że wstępne porozumienie nie obejmuje kwestii irańskiego programu rakietowego ani wsparcia udzielanego przez Iran organizacjom zbrojnym, w tym libańskiemu Hezbollahowi.

„Myślę, że panuje wśród nas duży poziom zaniepokojenia tą sprawą" – oświadczał portalowi „The Hill" jeden z republikańskich senatorów, prosząc o zachowanie anonimowości.

UREGULOWANIE SYTUACJI WOKÓŁ CIEŚNINY MA BYĆ DOWODEM, ŻE USA NIE TYLKO WYGRAŁY KONFLIKT Z IRANEM, ALE RÓWNIEŻ UTRZYMAŁY SWOJĄ POZYCJĘ NA BLISKIM WSCHODZIE.

Realizacja porozumienia szybko jednak stanęła pod znakiem zapytania. Po okresie względnego uspokojenia doszło do kolejnych wzajemnych ataków między Stanami Zjednoczonymi a Iranem.

REPUBLIKAŃSKI SENATOR JAMES LANKFORD OSKARŻYŁ IRAN O CELOWE PRZECIĄGANIE NEGOCJACJI I PRÓBĘ WYMUSZENIA KORZYSTNIEJSZEGO DLA SIEBIE POROZUMIENIA.

Obie strony zaczęły oskarżać się o naruszanie jego ustaleń.

Tej wiosny sekretarz stanu USA Marco Rubio podkreślał, że jednym z głównych celów wojny z Iranem jest ponowne otwarcie cieśniny Ormuz.

Teheran od początku prezentował jednak nieprzejednane stanowisko, konsekwentnie utrzymując, że akwen pozostanie pod jego pełną kontrolą.

W połowie maja irańska agencja Fars, powiązana z Korpusem Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC), oświadczyła, że wyłączne prawo do zarządzania ruchem statków, wyznaczania tras żeglugowych oraz wydawania zezwoleń będzie należało do Islamskiej Republiki Iranu.

Na początku czerwca rzecznik irańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych wskazał z kolei, że główną przeszkodą w rozmowach są „sprzeczne" stanowiska Waszyngtonu, natomiast republikański senator James Lankford oskarżył Iran o celowe przeciąganie negocjacji i próbę wymuszenia korzystniejszego dla siebie porozumienia.

Dyskusja o kosztach

Szlak, którym na co dzień przepływało ponad sto tankowców dziennie, z początkiem marca niemal opustoszał, a przez to wąskie gardło przedostawało się od teraz zaledwie kilka jednostek.

Globalny system dostaw surowców oparty na eksporcie z Zatoki Perskiej został wyraźnie ograniczony.

Skutki były widoczne niemal natychmiast. Gdy jeszcze przed końcem lutego ropa naftowa typu Brent kosztowała około sześćdziesięciu kilku dolarów za baryłkę, pierwsze dni kryzysu przyniosły gwałtowną falę wzrostów. W atmosferze niepewności i obaw ceny wystrzeliły, chwilowo przekraczając poziom 110 dolarów za baryłkę.

eprasa.pl 33022f5d4b

W kolejnych tygodniach ceny częściowo się uspokoiły i ustabilizowały, ale nadal pozostają podwyższone względem okresu sprzed kryzysu. Według notowań z 5 sierpnia za baryłkę ropy typu Brent trzeba zapłacić 76,04 dolara, a za WTI ponad 75 dolarów.

Bardzo mocno zmienił się też koszt transportu morskiego. Firmy ubezpieczeniowe natychmiast podniosły składki za ryzyko wojenne, a część armatorów zaczęła omijać region. W efekcie przewóz ropy tankowcami bardzo zdrożał, a wynajem statków do jej transportu wzrósł nawet do kilkuset tysięcy dolarów za jeden dzień.

Część właścicieli firm transportowych deklaruje obecnie gotowość do ponoszenia opłat wymaganych przez stronę irańską za możliwość tranzytu towarów i surowców przez cieśninę Ormuz.

– Nawet gdybym musiał coś płacić, moim zdaniem byłoby to znacznie lepsze niż sytuacja, gdy cieśnina jest zamknięta. Dla mnie lepiej jest wysłać 100 lub 200 tysięcy dolarów – w zależności od wielkości ładunku lub statku – niż mierzyć się z całym tym zamieszaniem – powiedział na początku czerwca Evangelos Marinakis, grecki magnat transportu morskiego.

Według analizy firmy Moody's Analytics, opublikowanej przez telewizję CNBC, wojna z Iranem wywołała znaczący wzrost kosztów energii ponoszonych przez amerykańskich konsumentów.

Od rozpoczęcia konfliktu 28 lutego 2026 roku do mniej więcej czerwca przeciętne gospodarstwo domowe w Stanach Zjednoczonych wydało już około 447 dolarów więcej na paliwo i inne wydatki związane z energią. W skali całego kraju oznacza to dodatkowe obciążenie dla konsumentów wynoszące niemal 60 miliardów dolarów.

KRAJE BLISKIEGO WSCHODU SĄ JEDNYMI Z GŁÓWNYCH DOSTAWCÓW SUROWCÓW DO PRODUKCJI NAWOZÓW ROLNICZYCH DLA EUROPY, W TYM POLSKI.

Według danych Amerykańskiego Związku Motorowego (AAA) średnia cena za galon benzyny wynosiła na początku sierpnia około 4,10 dolarów, co oznacza wzrost o 30 procent w porównaniu z początkiem marca.

MOCNO ZMIENIŁ SIĘ KOSZT TRANSPORTU MORSKIEGO. FIRMY UBEZPIECZENIOWE NATYCHMIAST PODNIOSŁY SKŁADKI ZA RYZYKO WOJENNE, A CZĘŚĆ ARMATORÓW ZACZĘŁA OMIJAĆ REGION.

Główny ekonomista Moodys Analytics Mark Zandi ostrzegł, że przedłużający się konflikt może dodatkowo osłabić amerykańską gospodarkę.

– Jeżeli wojna nie zakończy się w najbliższym czasie, konsumenci znajdujący się pod coraz większą presją finansową nie będą mieli innego wyjścia, jak ograniczyć swoje wydatki, co może zagrozić już i tak spowalniającej gospodarce – ocenił Zandi.

Ekspert dodał, że jeśli ceny energii utrzymają się na obecnym poziomie, przeciętne amerykańskie gospodarstwo domowe może w ciągu pierwszego roku wojny ponieść dodatkowe koszty sięgające nawet 2 tysięcy dolarów!

Wyniki sondażu przeprowadzonego przez pracownię Rasmussen Reports z końca marca wskazywały na wyraźny niepokój amerykańskich wyborców związany z możliwością zablokowania cieśniny Ormuz przez Iran.

Aż 76 proc. respondentów deklarowało, że obawia się tego scenariusza. Jednocześnie podobnie wysoki odsetek badanych, bo 75 proc., uznawał, że ewentualne zakłócenia w tym regionie mogłyby mieć poważne negatywne konsekwencje dla gospodarki Stanów Zjednoczonych, przy czym 28 proc. ankietowanych określało takie szkody jako „bardzo prawdopodobne".

W tym samym czasie jedynie mniejszość, bo 20 proc. respondentów, nie dostrzegała istotnego ryzyka gospodarczego związanego z tą sytuacją.

Polska i europejska perspektywa

Polska deklaruje poparcie dla działań na rzecz trwałego otwarcia

eprasa.pl 33022f5d4b

cieśniny Ormuz, podkreślając kluczowe znaczenie utrzymania rozejmu na Bliskim Wschodzie oraz deeskalacji napięć na linii Teheran – Waszyngton.

Wicepremier i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, reprezentujący Polskę podczas zorganizowanej w połowie kwietnia międzynarodowej wideokonferencji poświęconej tym tematom, wskazywał, że priorytetem pozostaje swoboda żeglugi, niezbędna dla światowych dostaw surowców.

Uczestnicy spotkania omówili koncepcję wielonarodowej misji morskiej, która miałaby zająć się udrożnieniem szlaku po zakończeniu działań wojennych.

„Za priorytet uznano wolność żeglugi bez dodatkowych restrykcji i opłat, szczególnie w odniesieniu do transportu surowców energetycznych, żywności oraz nawozów. W tym kontekście omówiono założenia przyszłej, wielonarodowej pokojowej misji morskiej, która po zakończeniu aktywnej fazy konfliktu miałaby zająć się rozminowaniem i udrażnianiem akwenu” – poinformowało MSZ.

Kraje Bliskiego Wschodu, w tym Katar i Arabia Saudyjska, są jednymi z głównych dostawców surowców do produkcji nawozów rolniczych dla Europy, w tym Polski.

Pod koniec maja Komisja Europejska wprowadziła specjalny, tymczasowy mechanizm wsparcia dla rolnictwa w ramach programu METSAF, który ma pomóc złagodzić skutki kryzysu na Bliskim Wschodzie.

KOMISJA EUROPEJSKA WPROWADZIŁA TYMCZASOWY MECHANIZM WSPARCIA DLA ROLNICTWA, KTÓRY MA POMÓC ZŁAGODZIĆ SKUTKI KRYZYSU NA BLISKIM WSCHODZIE.

To rozwiązanie pozwala rządom krajów Unii Europejskiej częściowo zwracać rolnikom wyższe koszty paliwa i nawozów – nawet do 70 proc. wysokości ich wzrostu. W uproszczonej procedurze przewidziano też jednorazową pomoc finansową do 50 tys. euro na jedno gospodarstwo rolne.

Program ma obowiązywać do końca 2026 roku, natomiast sposób jego realizacji oraz tempo wypłat pozostają w gestii poszczególnych państw członkowskich, które samodzielnie będą decydować o szczegółach jego wdrożenia.

„Część ekspertów wskazuje jednak, że samo otwarcie cieśniny nie wystarczy, by światowa gospodarka mogła odetchnąć z ulgą. Po pierwsze, dno Ormuzu jest zaminowane, a operacja usunięcia stamtąd wszystkich niebezpiecznych ładunków może potrwać w skrajnym scenariuszu pół roku. Po drugie, przedsiębiorcom z całego świata trudno zakładać, że takie porozumienie będzie trwałe, biorąc pod uwagę styl prowadzenia polityki zagranicznej przez obecnego prezydenta USA Donalda Trumpa” – pisze Tomasz Setta z portalu money.pl.

W takim ujęciu zakończenie kryzysu wokół cieśniny Ormuz nie byłoby postrzegane jako zwykły kompromis dyplomatyczny, lecz jako moment, w którym Waszyngton – po okresie napięć – odzyskuje ostatecznie zdolność kształtowania reguł gry w regionie. W narracji zwolenników twardego kursu wobec Teheranu to właśnie administracja Trumpa miałaby doprowadzić do sytuacji, w której kluczowy szlak morski zostaje ponownie otwarty, lecz na warunkach odzwierciedlających amerykańskie interesy i oczekiwania.

Porozumienie kończące wojnę z Iranem nie stanowiłoby więc gestu ustępstwa, lecz potwierdzenie amerykańskiej sprawczości. Służyłoby jako dowód, że kontrola nad bezpieczeństwem żeglugi w jednym z najważniejszych punktów strategicznych świata pozostaje w rękach Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

„DNO ORMUZU JEST ZAMINOWANE, A OPERACJA USUNIĘCIA STAMTĄD WSZYSTKICH NIEBEZPIECZNYCH ŁADUNKÓW MOŻE POTRWAĆ W SKRAJNYM SCENARIUSZU PÓŁ ROKU”.

Tym samym wzmocniłoby to przekaz, że amerykańska polityka zagraniczna mimo różnych turbulencji finalnie prowadzi do osiągania wymiernych i trwałych rezultatów.

eprasa.pl 33022f5d4b



Piotr Skwieciński

Nie kierować się względami humanitarnymi

Gdyby mnie spytano, co w historii własnego narodu wzbudza mój największy wstyd, nie miałbym problemów z odpowiedzią.

Chodzi o to, jak w latach 20. i 30. polski rząd i dyplomacja zachowały się wobec polskiej mniejszości w ZSRR. Wobec rodaków. Nic na to nie poradzę, ale winy wobec swoich wydawały mi się zawsze czymś jeszcze gorszym od win wobec obcych.

„Nas, Polaków, nie ma kto bronić. Myślimy, że wszyscy się zaprzedaliście" – napisał w 1935 roku, gdy Polaków wywożono z ówczesnej zachodniej części radzieckiej Ukrainy, do kijowskiego konsulatu RP Polak Jan Paciórkowski. I trudno z tymi słowami polemizować. Autor jedynego chyba opracowania tego tematu Robert Kuśnierz cytuje szczerą konkluzję polskiego dyplomaty i oficera wywiadu Jerzego Niezbrzyckiego, który w czasie podróży po Ukrainie w 1929 r. zanotował: „Pojmują oni doskonale, iż o kilkadziesiąt kilometrów na zachód położona Polska zupełnie nie troszczy się o ich los".

Skąd to wynikało? Z poczucia braku siły? Z gorzkiego realizmu? Kuszące wytłumaczenie. Ale chyba nie w pełni prawdziwe, skoro ostatni ambasador II RP w Moskwie Wacław Grzybowski w grudniu 1938 r. powiedział, że „Obecne osłabienie Rosji daje mi bardzo przyjemne samopoczucie, bo rozmawiając z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych, jako polski ambasador czuję, że siłę reprezentuję ja". Zaś jego szef, minister Beck, jeszcze wiosną 1939 r. (!) mówił: „Nie sądzę, by nam cokolwiek groziło przez długie lata ze strony naszego wschodniego sąsiada".

Nie chodziło więc o strach, tylko o szczery brak zainteresowania. Mimo iż znajdujące się w ZSRR konsulaty informowały ambasadę o rozmaitych represjach wobec Polaków, ambasador Grzybowski nigdy nie napisał do warszawskiej centrali żadnego meldunku w tej sprawie.

Ten brak zainteresowania nie był udziałem wyłącznie MSZ. Bo kiedy w styczniu 1936 r. Beck miał w Sejmie długie wystąpienie o polityce zagranicznej, w trakcie którego mówił o prześladowaniu polskiej mniejszości w Czechosłowacji, a o ZSRR – ani słowa, nie tylko żaden poseł w debacie po mowie szefa MSZ nie poruszył tematu Polaków zza wschodniej granicy, ale nie uczyniła tego również w ogóle prasa. Debata została powtórzona w styczniu 1938 r., czyli wtedy, kiedy pełną parą szła „operacja polska" NKWD, realizowana tak, jakby jej celem była fizyczna likwidacja wszystkich dorosłych Polaków płci męskiej. Wtedy jeden z posłów na Sejm sprawę poruszył, mówiąc jednak nie o eksterminacji, tylko o wysiedleniach. Beck odpowiedział, że w relacjach polsko-radzieckich nie jest to jedyny problem, a nadziei na skuteczną akcję dyplomatyczną w tej sprawie nie ma.

Wszystko to miało, oczywiście, więcej niż jedną przyczynę. Ale gdybym miał nazwać tę najgłębszą, najbardziej pierwotną, to doszukałbym się jej w – niestety, trzeba tu pojechać Marksem – poczuciu obcości, wręcz odrazy, klasowej.

Bo przecież ogromna większość Polaków, żyjących na wschód od granicy ryskiej – to byli chłopi. Ziemiaństwa i inteligencji nigdy nie było tam za wiele, to, co było po roku 1917, zostało wyrżnięte w kolejnych rzeziach albo uciekło do Polski. A chłopi...

Chłopi nie mieścili się w wizji narodu pieszczonej przez elity II RP. I o ile z tymi, którzy żyli w Polsce i mieli obywatelstwo, trzeba się było, niechętnie, jakoś liczyć, o tyle ci bez obywatelstwa... O, z tymi można już było zrobić tak, jak dyktowało serce.

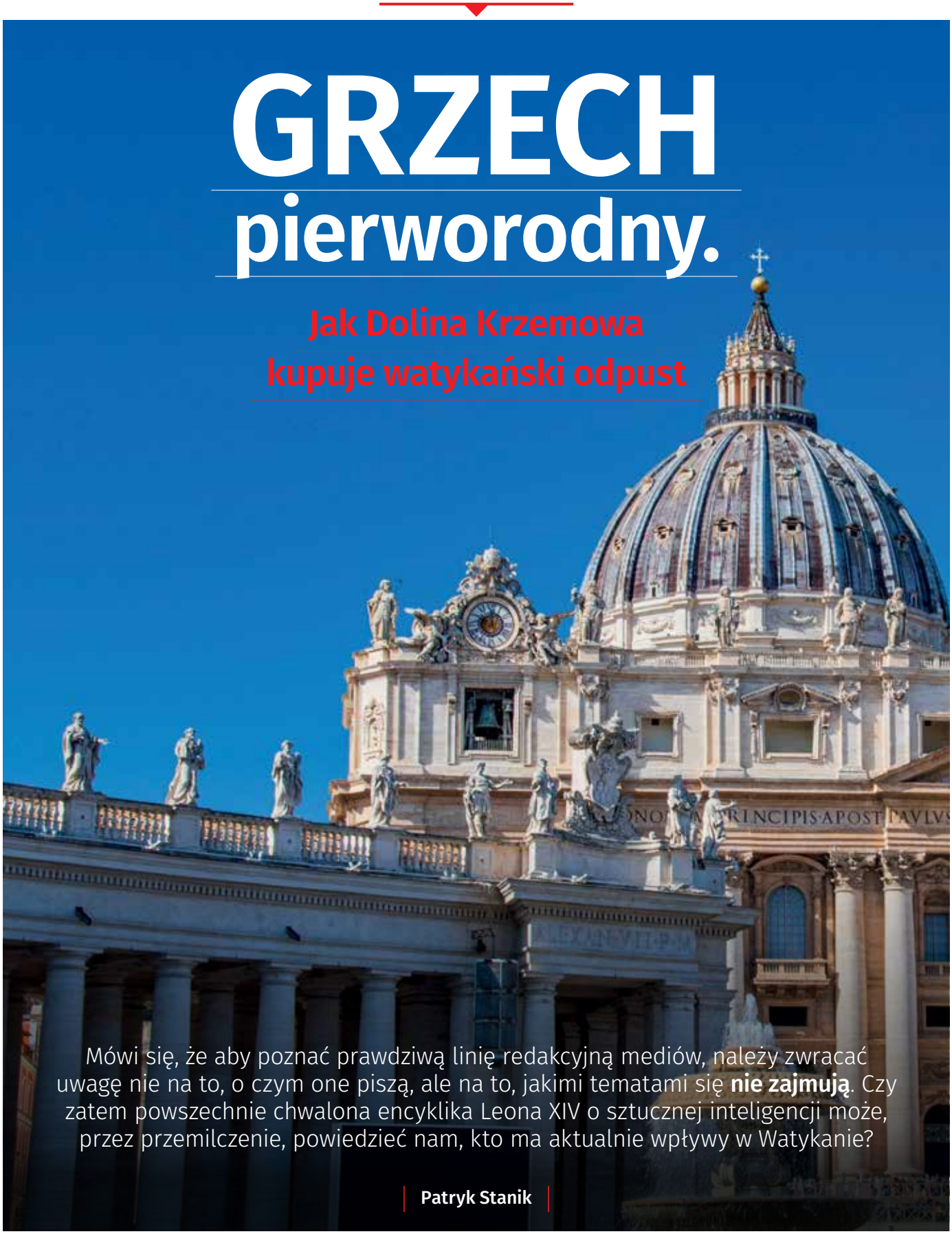
„Ułatwienie powrotu do Polski elementowi bezrobotnemu i zdemoralizowanemu warunkami życia w państwie wojującego komunizmu należy uważać za bezwzględnie szkodliwe i niedopuszczalne. Toteż należy względem tej kategorii osób zachowywać jak najdalej idącą rezerwę i – poza zupełnie wyjątkowymi wypadkami – nie kierować się względami humanitarnymi" – głosiła skierowana do konsulatów instrukcja warszawskiej centrali.

Tak właśnie dyktowało serce elit II RP.

eprasa.pl 33022f5d4b

GRZECH pierworodny.

Jak Dolina Krzemowa kupuje watykański odpust



Mówi się, że aby poznać prawdziwą linię redakcyjną mediów, należy zwracać uwagę nie na to, o czym one piszą, ale na to, jakimi tematami się **nie zajmują**. Czy zatem powszechnie chwalona encyklika Leona XIV o sztucznej inteligencji może, przez przemilczenie, powiedzieć nam, kto ma aktualnie wpływy w Watykanie?

Patryk Stanik

Fot. Adobe Stock

eprasa.pl 33022f5d4b

Te same kamienne posadzki rzymskiej Bazyliki Santa Maria Sopra Minerva, którymi przed wiekami Galileusz szedł na swój proces (i gdzie w tym czasie mieszkał w komfortowych warunkach) przez ostatnią dekadę prowadzą tytanów Doliny Krzemowej na tzw. Dialogi Minerwy, czyli spotkania przedstawicieli Big Tech z ludźmi Kościoła. Tym razem nie mają jednak odwoływać herezji, a przeciwnie: przyjeżdżają po błogosławieństwo, wybierając Watykan tyleż z powodów ideowych, co praktycznych (sami mówią, że katolicyzm ma tę zaletę, że posiada centralę).

Pierwsza encyklika papieża Leona XIV „Magnifica humanitas", na której treść wpłynęły Dialogi Minerwy, waży wiele. Zbudowano ją na twardym, chrystocentrycznym fundamencie, który przypomina światu, że prawdziwe człowieczeństwo objawia się w ciele, w słabości i we Wcieleniu. Kościół po raz kolejny udowadnia, że potrafi czytać znaki czasu. Diagnozuje technokrację, ostrzega przed cyfrowym feudalizmem, upomina się o godność pracy.

A jednak w tym powszechnie chwalonym (szczególnie w mediach świeckich) dokumencie zieje wyrwa.

Kradzież, której nikt nie nazywa po imieniu

Brakuje w nim opisu grzechu pierworodnego. Encyklika słusznie ostrzega przed wykluczeniem i nowymi formami niewolnictwa, ale milczy o fundamencie, na którym wzniesiono współczesne modele sztucznej inteligencji. Tym fundamentem jest kradzież. Algorytmy, które dziś rzekomo mają nam pomagać, zostały wytrenowane na bezprecedensowej kradzieży własności intelektualnej.

Wydawcy książek i producenci muzyczni pozywają firmę Anthropic, tę samą, której przedstawiciel zasiada dziś obok papieża. Wydawca „The New York Times" idzie do sądu przeciwko OpenAI, tej samej, której inwestor inicjuje rozmowy Doliny Krzemowej z Watykanem. Pisarze, artyści, graficy, fotografowie i tłumacze tracą z dnia na dzień środki do życia. Ich dorobek, pot, talent i lata wyrzeczeń zostały bez pytania zassane przez serwery Big Techu, które mielą cudzą pracę, wypluwając statystyczną przeciętność.

Ten brak widoczny jest tym wyraźniej, że niedawno w jednym z procesów przeciw firmom AI wypłacono najwyższe w historii sporów o kradzież praw autorskich odszkodowanie (Anthropic w ramach ugody wypłacił wydawnictwu Bloomsbury co najmniej 1,5 mld dolarów).

Dlaczego papieski dokument przeoczył ten fundamentalny akt niesprawiedliwości? Odpowiedź może chodzić w sutannach i mówić z irlandzkim akcentem. Kościół, zmagający się z kryzysem wizerunkowym i sekularyzacją, szuka sojuszników. Dolina Krzemowa, zmagająca się z oskarżeniami o niszczenie demokracji i kradzież praw autorskich, szuka moralnego alibi. Swatami tego małżeństwa z rozsądku są konkretni ludzie.

> KIEDY PRZYCHODZI DO KRADZIEŻY PRAW AUTORSKICH, DOLINA KRZEMOWA CHOWA SIĘ ZA RZEKOMĄ NIEWIEDZĄ. A KIEDY POTRZEBUJE UWIARYGODNIENIA, JEDZIE DO RZYMU.

Przedsiębiorczy duchowni i podatkowy raj

Kiedyś to Rzym dyktował warunki, a papieskie edykty wyznaczały granice tego, co dozwolone. W przypadku rozwoju AI Watykan nie narzuca już zasad, ale negocjuje je, w dodatku z ludźmi, którzy owym zasadom powinni podlegać. Architektów tego kompromisu jest kilku. Zanim na scenę wkroczyli Irlandczycy, grunt przygotował francuski dominikanin, ojciec Éric Salobir. Prasa ochrzciła go „kapelanem Doliny Krzemowej", który „z prezesami technologicznych gigantów spędza więcej czasu niż ze zwykłymi parafianami". Dziś jest założycielem globalnej sieci Optic pomagającej gigantom takim jak Google czy Meta poruszać się w kwestiach etyki AI. Pełni też funkcję przewodniczącego Human Technology Foundation, wspieranej m.in. przez Boston Consulting Group i KPMG (obok Deloitte, EY oraz PwC należy do tzw. Wielkiej Czwórki firm konsultingowych). Ukończył ISC Paris, uczelnię należącą do elitarnego 1 procenta uczelni biznesowych świata posiadających tzw. potrójną koronę (akredytacje AACSB, AMBA oraz EQUIS), a zanim wstąpił do zakonu, był bankierem inwestycyjnym zajmującym się w Crédit Lyonnais fuzjami i przejęciami.

Według magazynu „The Atlantic" to Salobir zapukał do drzwi Reida Hoffmana, współtwórcy LinkedIn i inwestora OpenAI.

eprasa.pl 33022f5d4b

Z kolei „The Irish Times" twierdzi, że to Hoffman podszedł do zakonnika w 2016 roku podczas konferencji w Kalifornii, szukając dojścia do papieża. Niezależnie od tego, kto pierwszy wyciągnął rękę, uścisk okazał się mocny. Do o. Salobira dołączyli kolejni duchowni.

Od dekady mosty między Stolicą Apostolską a Doliną Krzemową budują także dwaj duchowni o irlandzkich korzeniach. Ksiądz Brendan McGuire, proboszcz parafii pw. św. Szymona w Los Altos, sercu Doliny Krzemowej, który doradza firmie Anthropic, oraz biskup Paul Tighe, sekretarz Dykasterii ds. Kultury i Edukacji.

Urodzony w Irlandii ks. McGuire jest inżynierem, absolwentem informatyki na Trinity College w Dublinie i programu „executive business program" na prestiżowym amerykańskim Uniwersytecie Stanforda. Zanim został księdzem, przez lata był dyrektorem wykonawczym w firmach technologicznych. W 2019 roku założył Instytut Technologii, Etyki i Kultury mający łączyć ludzi korporacji technologicznych, akademików i „liderów religijnych". „Pochodzę z tamtego świata [firm technologicznych], moje serce nigdy go nie opuściło" – mówił w wypowiedzi dla OSV News. Portal „The Pillar" twierdzi, że wpłynął na kształt encykliki.

Bp Tighe jest synem urzędnika IDA Ireland. To państwowa agencja odpowiedzialna za pozyskiwanie inwestycji zagranicznych, która przed laty ściągała amerykański Big Tech na Zieloną Wyspę (amerykańskie korporacje stanowiły 2/3 największych inwestorów IDA). Tighe jako ksiądz był odpowiedzialny za cyfryzację biura prasowego archidiecezji dublińskiej, by następnie pełnić podobną rolę w Papieskiej Radzie ds. Środków Społecznego Przekazu. Sakrę biskupią przyjął w 2016 roku z rąk kardynała Pietro Parolina. „To zabawne, bo niektóre nazwy, nawet nazwa samej Doliny Krzemowej i nazwy niektórych firm, były mi znane z domu" – wspomina w wypowiedzi dla „Irish Times".

Bp Tighe od początku brał udział w Dialogach Minerwy. Ich nazwa nawiązuje do budynku, w którym przedstawiciele Watykanu spotykają się z najbardziej prominentnymi ludźmi Doliny Krzemowej. Byli wśród nich m.in. były prezes Google Eric Schmidt, wspomniany już Reid Hoffman, dyrektor ds. technologii w Microsoft Kevin Scott czy Christopher Olah z Anthropic (więcej o nim w dalszej części tekstu). Z czasem były rzecznik prasowy archidiecezji dublińskiej staje się głównym koordynatorem oraz łącznikiem między Watykanem a światem technologii.

> ZAMIAST TWARDO STANĄĆ NA GRUNCIE REALIZMU I BRONIĆ KONKRETNEGO CZŁOWIEKA PRZED KONKRETNYM WYZYSKIEM, KOŚCIÓŁ WDAŁ SIĘ W MGLISTE DYSKUSJE O NATURZE ALGORYTMÓW.

„Double Irish" i podatki Big Tech

To właśnie w Dublinie swoje europejskie centrale ulokowały Meta, Google i Microsoft (Apple siedzibę ma w irlandzkim Cork). Powód był prozaiczny: podatki. A raczej ich zorganizowane, systemowe unikanie. Irlandzkie PKB puchło w oczach, pompowane przez korporacje uciekające przed europejskimi daninami. Zjawisko to przeszło do historii ekonomii jako tzw. Double Irish. Mechanizm pozwalał gigantom technologicznym transferować miliardy dolarów zysków poza zasięg fiskusa, zostawiając europejskie państwa z pustymi rękami.

Mamy tu do czynienia z ironią, która umyka uwadze watykańskich dyplomatów. Ojciec biskupa Tighe pomagał korporacjom instalować się w Europie, budując potęgę Doliny Krzemowej. Syn natomiast pomaga tym samym korporacjom omijać moralne rafy, de facto budując ich wizerunek w Watykanie.

Trudno o bardziej jaskrawy kontrast z nauczaniem społecznym Kościoła. Katolicka doktryna od czasów Leona XIII mówi jasno o sprawiedliwej płacy, o obowiązkach kapitału wobec społeczeństwa, o powszechnym przeznaczeniu dóbr. Tymczasem architekci cyfrowego świata, z którymi Watykan prowadzi dziś uprzejme dialogi, zbudowali swoje imperia na drenażu kapitału z państw narodowych.

Uścisk dłoni w Davos

Sarah Wynn-Williams, była dyrektorka Facebooka ds. publicznych, opisała ten mechanizm z nadzwyczajną szczerością. W swojej książce „Bezwzględni" wspomina spotkanie w Davos, na którym ówczesny premier Irlandii Enda Kenny uspokajał Marka Zuckerberga i Sheryl Sandberg zaniepokojonych planami Unii Europejskiej dotyczącymi ochrony prywatności internautów. Zapewniał ich, że osobiście zadba o Big Tech, dla któ-

eprasa.pl 33022f5d4b

rego stworzył specjalną linię komunikacji z irlandzkim rządem. Co więcej, wiceprezeska Facebooka dziękowała wtedy Kenny'emu za przedłużenie o kolejnych pięć lat podatkowego schematu „Double Irish" krytykowanego w Europie.

Tak wygląda w praktyce solidarność i sprawiedliwość społeczna, o której korporacyjni liderzy chętnie dyskutują w rzymskich pałacach. Kiedy przychodzi do płacenia za szkoły, szpitale i drogi w Europie, Dolina Krzemowa chowa się za irlandzkim parasolem. Kiedy przychodzi do kradzieży praw autorskich, chowa się za niewiedzą. A kiedy potrzebuje uwiarygodnienia, jedzie do Rzymu.

I to właśnie środowisko, wyrosłe na podatkowym dumpingu i omijaniu prawa, stało się głównym partnerem Watykanu w rozmowach o etyce sztucznej inteligencji. Zamiast prorockiego gniewu otrzymujemy dyplomatyczne uśmiechy. Zamiast obrony ograbionych twórców słyszymy gładkie słowa o potrzebie dialogu.

Komiwojażer w Auli Synodalnej

Skutki tego mariażu widać było wyraźnie podczas samej prezentacji encykliki. 25 maja w Nowej Auli Synodalnej rozegrała się scena, która przejdzie do historii kościelnego PR-u. Obok papieża Leona XIV zasiadł Chris Olah, współzałożyciel firmy Anthropic, stypendysta Fundacji Petera Thiela – inwestora stojącego za kilkoma kontrowersyjnymi technologiami (jest m.in. prezesem firmy Palantir specjalizującej się w ułatwianiu masowej inwigilacji cyfrowej).

Obecność papieża oraz szefa komercyjnej firmy technologicznej na premierze papieskiego dokumentu to sytuacja bez precedensu. Trudno o lepszy triumf wizerunkowy dla korporacji, która mierzy się z pozwami o kradzież praw autorskich. Wyobraźmy sobie, że Leon XIII ogłasza „Rerum novarum", a obok niego siedzi uśmiechnięty baron węglowy, przeciwko któremu strajkują górnicy. Wyobraźmy sobie, że Jan Paweł II ogłasza „Centesimus annus" w towarzystwie prezesa banku oskarżonego o lichwę.

> KOŚCIÓŁ, STRAŻNIK PRAWDY O WCIELENIU, CHCE OCHRZCIĆ TECHNOLOGIĘ, KTÓRA Z SAMEJ SWEJ NATURY DĄŻY DO ODCIELEŚNIENIA I SYMULACJI DUCHA.

Olah przemawiał w Watykanie z pozycji zatroskanego humanisty. Mówił o presji komercyjnej, o geopolityce, o potrzebie zewnętrznych krytyków. Prosił Kościół o pomoc w rozeznawaniu. Brzmiało to pięknie, ale czy nie jest to tylko filantropijny teatr? Anthropic nie potrzebuje Kościoła do rozeznawania. Potrzebuje Kościoła jako tarczy. Kiedy wydawcy książek pytają w sądzie, dlaczego ich dzieła zostały skradzione do trenowania modelu Claude, Anthropic może teraz wskazać na Watykan i powiedzieć, że przecież prowadzi głęboki dialog etyczny z samym papieżem.

> OBECNOŚĆ PAPIEŻA ORAZ SZEFA KOMERCYJNEJ FIRMY TECHNOLOGICZNEJ NA PREMIERZE PAPIESKIEGO DOKUMENTU TO SYTUACJA BEZ PRECEDENSU.

Normalizacja Lewiatana

Ross Douthat ujął ten problem z chłodną precyzją. Leon XIV, mimo swoich ostrzeżeń, ostatecznie normalizuje sztuczną inteligencję. Traktuje ją jak kolejną maszynę. Jak telefon, silnik parowy czy maszynę drukarską, które wymagają jedynie odpowiednich regulacji, nadzoru i redystrybucji zysków. Papież pisze o AI jako o narzędziu, które nie czuje, nie kocha i nie posiada sumienia.

Douthat zauważa jednak pęknięcie. Papież twardo i słusznie odrzuca przypisywanie maszynom świadomości. Tymczasem siedzący obok niego Olah opowiada o algorytmach, w których badacze odnajdują stany przypominające radość, żal czy niepokój. Mamy więc do czynienia z fundamentalnym zderzeniem ontologii. Kościół, strażnik prawdy o Wcieleniu, chce ochrzcić technologię, która z samej swej natury dąży do odcieleśnienia i symulacji ducha.

Papież mówi, że maszyna to tylko maszyna. Twórca maszyny, zaproszony przez papieża na salony, sugeruje, że maszyna ma duszę. Ten dysonans poznawczy pokazuje, jak bardzo Watykan dał się uwieść narracji Doliny Krzemowej. Zamiast twardo stanąć na gruncie realizmu i bronić konkretnego człowieka przed

eprasa.pl 33022f5d4b

konkretnym wyzyskiem, Kościół wdał się w mgliste dyskusje o naturze algorytmów.

A przecież chrześcijaństwo to religia konkretu. Bóg stał się ciałem, a nie zbiorem danych. Zbawienie dokonało się na drewnianym krzyżu, a nie w chmurze obliczeniowej. Kiedy Kościół zapomina o tym konkrecie, zaczyna rozmawiać z krezusami o etyce, zapominając o wdowie, sierocie i wyrobniku. Dzisiejszym wyrobnikiem jest grafik, którego portfolio zostało wchłonięte przez AI typu Midjourney. Dzisiejszą wdową jest tłumaczka, która traci zlecenia, bo model językowy nauczył się jej fachu na zassanych przez korporację tekstach.

KRADZIEŻ WŁASNOŚCI INTELEKTUALNEJ NA SKALĘ PRZEMYSŁOWĄ TO GRZECH WOŁAJĄCY O POMSTĘ DO NIEBA.

Encyklika „Magnifica humanitas” milczy o ich losie. Skupia się na wielkich wizjach, na geopolityce, na zagrożeniach militarnych. To wszystko ważne sprawy. Ale katolicka nauka społeczna zawsze zaczynała się od dołu. Od godności pojedynczego pracownika. Od prawa do owoców własnej pracy. Kradzież własności intelektualnej na skalę przemysłową to grzech wołający o pomstę do nieba. To grzech, który domaga się nazwania po imieniu.

Zacheusz i algorytmy

Chrystus jadał z celnikami i grzesznikami, to prawda. Obrońcy watykańskiej dyplomacji chętnie przywołają ten argument. Skoro Jezus wszedł do domu Zacheusza, to papież może zaprosić szefa firmy technologicznej.

Ale w tej biblijnej analogii brakuje kluczowego elementu. Zacheusz, zszedłszy z sykomory, stanął przed Panem i powiedział, że połowę majątku oddaje ubogim, a jeśli kogoś skrzywdził, oddaje poczwórnie. Nastąpiło zadośćuczynienie. Naprawa wyrządzonego zła.

Dolina Krzemowa nie zamierza oddać poczwórnie. Zamiast zadośćuczynienia za rujnowanie życia tysiącom twórców, oferuje nam algorytmiczne symulacje empatii. Zamiast zapłacić za skradzione dzieła, funduje granty na badania nad etyką. Zamiast płacić podatki w Europie, lobbuje u irlandzkich polityków.

„Magnifica humanitas” to piękny tekst. Przypomina, że człowiek jest czymś więcej niż zbiorem danych, a nasze rany i ograniczenia są miejscem spotkania z Bogiem. Szkoda tylko, że w kuluarach tej wielkiej teologicznej debaty zabrakło głosu zwykłej ilustratorki czy pisarza, któremu bezduszny mechanizm odebrał chleb. Zamiast nich w Watykanie rozsiedli się akuszerzy cyfrowego kapitalizmu. Pachnący kadzidłem (wspomniany Thiel wygłasza dziś swoiste homilie o katolicyzmie i technologii), zadowoleni z siebie i bezkarni.

Kościół miał szansę stanąć w obronie ograbionych, a także pokazać, że żadna technologia nie jest „nieunikniona” (o. Salobir ma specjalną metaforę dla tego przekonania, wygodnego dla Big Tech: „Możesz nie zgadzać się z deszczem, ale i tak będziesz mokry”). Zamiast tego Watykan de facto udziela rabusiom moralnego alibi. I to jest prawdziwy brak tej encykliki. Dokument, który miał być murem chroniącym ludzkość przed technokracją, stał się dla technokratów wygodnym parawanem. A wszystko to przy dyskretnym wsparciu kilku duchownych, którzy sztukę optymalizacji – czy to podatkowej, czy moralnej – opanowali do perfekcji.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**



eprasa.pl 33022f5d4b

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego



Basia: – Niesamowite, że umieszczamy w Pana rubryce, która ma przecież na celu m.in. przypominanie o historycznych wydarzeniach, także zdjęcia związane z wojną na Ukrainie. Z jednej strony jest to już historia, z drugiej – dramat Ukraińców, który nadal trwa i nie wiadomo, kiedy się skończy.

Tomek: – Dziś echo jednego z bardziej dramatycznych wydarzeń z początku wojny, a mianowicie masakry w obozie jenieckim w Ołeniwce 29 lipca 2022 roku. Wtedy w wyniku ataku Rosjan zginęło ponad 50 ukraińskich jeńców wojennych, a wielu z nich zostało rannych.

– To byli głównie żołnierze z kompleksu Azowstal, obrońcy Mariupola.

– Zgromadzono ich w pustym baraku na terenie więzienia, a następnie wysadzono w powietrze. Moje zdjęcie dokumentuje demonstrację, która odbyła się na Placu Zamkowym w Warszawie. Podczas niej o zdarzeniu przypominali Ukraińcy mieszkający w Polsce. Mieli ze sobą symboliczne łóżko, takie samo, na jakich spali więźniowie w Ołeniwce.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 33022f5d4b

KULTURA

Czytaj też:
Mój koncert to czas spotkania z ludźmi 56
Nawrocki na literackich ścieżkach 58
Sceny z (po)życia małżeńskiego 62

MISTRZ FORTEPIANU – Ignacy Jan Paderewski



Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Cyfrowego

Ignacy Jan Paderewski, Polak z Kresów, wirtuoz fortepianu, **mąż stanu**, premier odrodzonej Rzeczypospolitej, patriota, miał trudne, ale bogate życie.

Piotr Łopuszański

eprasa.pl 33022f5d4b

Pochodził z polskiej rodziny szlacheckiej (herbu Jelita) z Podola. Mało kto dziś pamięta, że Podole i Ukraina, od czasu Unii Lubelskiej należące do Korony Polskiej, były matecznikiem polskiej kultury. To stąd wywodzili się pisarze, muzycy, malarze: Józef Bohdan Zaleski, Józef Korzeniowski (Joseph Conrad), Karol Szymanowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Stanisławski i wielu innych.

Jak sam podawał, Ignacy Jan Paderewski urodził się 6 listopada 1860 roku. Niektóre dokumenty podają datę 25 października (to według kalendarza juliańskiego, który obowiązywał w Rosji). Są akta, na których data urodzenia jest wcześniejsza: 1859 roku. Natomiast portal culture.pl podał daty 6 listopada 1860 roku i 18 listopada (rzekomo według kalendarza juliańskiego). To błędne przeliczenie.

Ojciec, Jan Paderewski, był administratorem w Kuryłówce nad Bohem, zwanej Atenami Podolskimi. Matka, Poliksena Nowicka, zmarła, gdy Ignacy Jan miał rok. Odtąd ojciec opiekował się dwojgiem swoich dzieci. W 1863 roku za pomoc, której udzielił powstańcom, został aresztowany. Dwa lata przesiedział w więzieniu w Lityniu. Gdy został zwolniony, musiał szukać innego miejsca i pracy. Zamieszkał z dziećmi w Sułdykowie koło Szepietówki niedaleko Zasławia.

Krajobraz – bujna przyroda Podola – zachwycały małego Ignasia. Do końca życia wspominał sady i pagórki rodzinnych stron. Był dzieckiem wątłym i stale myślał o śmierci. Ojciec ponownie się ożenił (z wdową mającą kilkoro dzieci). Rodzina była więc liczna. Daleki krewny Michał Babiański został nauczycielem Ignacego, który pragnął „zostać kimś" i „zrobić coś dla Polski" – jak zanotował w pamiętnikach. Szybko okazało się, że młody Ignacy ma talent muzyczny.

Chłopiec w wieku 12 lat przyjechał do Warszawy. Zamieszkał na stancji przy Placu Krasińskich, a w Instytucie Muzycznym (w Pałacu Ostrogskich) kształcił się gorliwie. Lubił muzykę i chciał się wiele nauczyć. Nauczyciele oceniali: „Słuch doskonały, przy tym przykładny i pilny". Mimo to został z grupą kolegów relegowany z uczelni wskutek sporu z nauczycielami. Po roku wrócił dzięki interwencji ojca.

W 1879 roku napisał do ojca: „Kochając i będąc kochanym, postanowiłem wstąpić w związki małżeńskie". Wybranką była jego uczennica, starsza od niego o cztery lata Antonina Korsakówna. Pokochali się i przez rok utwierdzili, że chcą być razem. Ignacy pisał, że chciał mieć dom i własne życie osobiste. W styczniu 1880 roku poślubił swą wybrankę w Rudni na Wołyniu. Dziewięć miesięcy później przyszedł na świat ich jedyny syn Alfred. Niestety, Antonina po porodzie zachorowała i zmarła. Szczęście skończyło się szybko. W liście Paderewski napisał: „Teraz wszystko dla mnie stracone". Synkiem zajęła się teściowa, potem ojciec, później matka chrzestna Helena z Rosenów Górska, żona przyjaciela kompozytora.

MAŁO KTO DZIŚ PAMIĘTA, ŻE PODOLE I UKRAINA, OD CZASU UNII LUBELSKIEJ NALEŻĄCE DO KORONY POLSKIEJ, BYŁY MATECZNIKIEM POLSKIEJ KULTURY.

IGNACY JAN PADEREWSKI URODZIŁ SIĘ 6 LISTOPADA 1860 ROKU.

Była córką barona kurlandzkiego Władysława Rosena i Greczynki Zofii z Taubów. Ona również była starsza od muzyka. Szybko się w nim zakochała, chociaż miała męża.

W Zakopanem Paderewski poznał Helenę Modrzejewską, która zauważyła ogromny talent rudowłosego Ignacego. Zorganizowała jego koncert, na którym także wystąpiła, a dochód przeznaczyła dla niego.

Paderewski kontynuował studia za granicą – w Wiedniu i Berlinie. Był uczniem znakomitego pedagoga Teodora Leszetyckiego, dużo ćwiczył, czasem nawet po 12 godzin dziennie. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel muzyki, ale to go nie interesowało. Chciał być wirtuozem.

Wieloletnie wysiłki i dążenie do doskonałości sprawiły, że niebawem zaczął odnosić sukcesy jako pianista. Występował w wielu państwach, między innymi we Francji i w Stanach Zjednoczonych, gdzie wybuchła wręcz moda na polskiego muzyka.

Paderewski był coraz bardziej pod urokiem Heleny Górskiej. Ich miłość okazała się silna i trwała. Po unieważnieniu jej małżeństwa Helena wyszła za Paderewskiego w 1899 roku. Ślub odbył się w kościele Świętego Ducha na Nowym Mieście w Warszawie. Helena była bardzo oddana Ignacemu, wspierała go, dbała o niego i jego syna. Alfred po chorobie polio miał niedowład nóg. Żadne kuracje nie pomagały. Paderewski zamieszkał w Szwajcarii w Riond-Bosson nad jeziorem Genewskim. Szukał ratunku w szwajcarskich klinikach. Niestety, w 1901 roku Alfred zmarł.

eprasa.pl 33022f5d4b

Muzyk miał ogromny wdzięk. W kontaktach towarzyskich zniewalał wszystkich. Pod jego wrażeniem był Tytus Chałubiński i prezydent USA Woodrow Wilson. Kobiety były zafascynowane jego włosami, a mężczyźni talentem. Zakochała się w nim Hélène Bibescu, przyjaciółka Marcela Prousta.

Lew salonowy miał jednak trudny charakter. Nie znosił najmniejszego szmeru podczas koncertu. Potrafił przerwać występ, gdy ktoś zachowywał się głośno. W Rosji publiczność urządziła przeciwko niemu jako Polakowi wrogą manifestację. Paderewski wezwał policję i w jej asyście dokończył koncert. Nieprzyjazna wcześniej widownia dała się porwać muzyce i nagrodziła polskiego artystę gromkimi brawami.

W Paryżu septyczni dziennikarze kpili z wyrażenia „lew Paryża" i pisali: „Wkrótce usłyszymy jego ryki". Tymczasem koncerty okazały się wielkim sukcesem i Paderewski miał Paryż u swoich stóp.

I chociaż najbardziej znany był jako wykonawca muzyki Fryderyka Chopina, Ferenca Liszta, Wolfganga Amadeusza Mozarta, to także komponował. Stworzył operę „Manru", symfonię h-moll, pieśni, „Tańce polskie" i menuetа w stylu Mozarta. Wielbiciele artysty nie zawsze potrafili właściwie wyrazić swoje uznanie. Jedna kobieta po koncercie oświadczyła zdumionemu Paderewskiemu: „Mistrzu, teraz, kiedy pana usłyszałam, może pan już umrzeć".

OJCIEC, JAN PADEREWSKI, BYŁ ADMINISTRATOREM W KURYŁÓWCE NAD BOHEM, ZWANEJ ATENAMI PODOLSKIMI. MATKA, POLIKSENA NOWICKA, ZMARŁA, GDY IGNACY JAN MIAŁ ROK.

Paderewski zbudował w Warszawie hotel Bristol, a w Krakowie ufundował Pomnik Grunwaldzki. W 1910 roku z okazji rocznicy bitwy pod Grunwaldem odsłonięto pomnik – dzieło Antoniego Wiwulskiego. Paderewski wygłosił piękne przemówienie. Powiedział, że ów pomnik nie jest wyrazem nienawiści, lecz miłości do ojczyzny, która kiedyś była wielka.

Tego samego roku uczcił we Lwowie setną rocznicę urodzin Fryderyka Chopina. Paderewski powiedział wtedy: „On nasz, a my jego, albowiem w nim się objawia cała nasza zbiorowa dusza".

Przed I wojną światową i w okresie międzywojennym istniało wiele stronnictw, często się zwalczających, jak endecy i socjaliści. Paderewski nie należał do żadnej partii, chociaż był konserwatystą i sympatyzował z chrześcijańską demokracją. W czasie Wielkiej Wojny działał razem z Henrykiem Sienkiewiczem w Komitecie Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Załatwiał wsparcie dla rannych. Jego żona była założycielką i pierwszą przewodniczącą Polskiego Białego Krzyża.

Paderewski wykorzystał swoją ogromną popularność i znajomości w świecie polityki i biznesu. Opowiedział prezydentowi Wilsonowi o historii Polski. Napisał memorandum w sprawie konieczności odbudowy państwa polskiego. Zaproponował Stany Zjednoczone Polski, w których skład miałyby wejść Litwa, Polesie, Królestwo Polskie i Królestwo Galicji (Wołyń, Ruś Czerwona). Pomysł był osobliwy i nierealistyczny, ale Woodrow Wilson w swoim wystąpieniu dotyczącym warunków pokoju po czteroletniej wojnie oświadczył, że musi powstać niepodległe państwo polskie z dostępem do morza, ale na terenach etnicznie polskich. Wskutek 200 lat wynaradawiania Kresów liczba Polaków na wschodnich krańcach dawnej Rzeczypospolitej zmalała ogromnie, a i na Pomorzu – wskutek osiedlania się Niemców – nawet Warmia i południowa część Prus (Mazury) nie były już etnicznie polskie.

W grudniu 1918 roku Paderewski przyjechał do Europy. Mimo oporu Niemiec przybył do Gdańska i pojechał do Poznania. Wizyta polskiego muzyka i patrioty wywołała entuzjazm wśród Poznaniaków. Ich manifestacja patriotyzmu wywołała zbrojną odpowiedź Niemców. Ostrzelano pokój państwa Paderewskich. Polacy 27 grudnia ruszyli do powstania, które objęło nie tylko Poznań, ale całą Wielkopolskę. Większość miast od Inowrocławia po Nowy Tomyśl

CHŁOPIEC W WIEKU 12 LAT PRZYJECHAŁ DO WARSZAWY. ZAMIESZKAŁ NA STANCJI PRZY PLACU KRASIŃSKICH, A W INSTYTUCIE MUZYCZNYM (W PAŁACU OSTROGSKICH) KSZTAŁCIŁ SIĘ GORLIWIE. LUBIŁ MUZYKĘ I CHCIAŁ SIĘ WIELE NAUCZYĆ.

eprasa.pl 33022f5d4b

i Ostrzeszów znalazła się w rękach polskich. Powstanie okazało się sukcesem i Wielkopolska, kolebka państwa polskiego traktowana przez Niemców jako ziemie niemieckie, wróciła do odrodzonej Polski. Zasługą Paderewskiego było wywołanie nastrojów niepodległościowych u Poznaniaków.

Gdy 2 stycznia 1919 roku przyjechał do stolicy, witały go tłumy Warszawiaków. Maria Dąbrowska zanotowała w dzienniku: „Przyjechał Paderewski i witany był jak panujący Narodu. Czegoś podobnego w życiu nie widziałam". Na dworcu Wiedeńskim ludzie wyprzęgli jego powóz i mimo śniegu ciągnęli go aż do hotelu Bristol.

Wysłuchał wielu mów powitalnych, a następnie z balkonu hotelowego powiedział Warszawiakom: „Nie przyszedłem po dostojeństwa, sławę i zaszczyty, lecz aby służyć, ale nie jakiemuś stronnictwu. [...] Stronnictwo powinno być jedno: Polska i temu jednemu służyć będę do śmierci".

4 stycznia spotkał się z Tymczasowym Naczelnikiem Państwa. Zarówno Paderewski, jak i Józef Piłsudski rozumieli, że Polska nie potrzebuje rządu danej partii, lecz rządu narodowego. Piłsudski zaproponował Paderewskiemu objęcie teki prezydenta Rady Ministrów, czyli premiera. Paderewski zgodził się. Został też ministrem spraw zagranicznych. To on razem z Romanem Dmowskim podpisał się pod traktatem wersalskim. Ministrem spraw wewnętrznych został Stanisław Wojciechowski, sprawiedliwości – Leon Supiński, a kultury i sztuki (jedynym w dwudziestoleciu) został ceniony krytyk Zenon Przesmycki.

To za rządu Paderewskiego przeprowadzono wybory do Sejmu Ustawodawczego, zorganizowano struktury państwa, a Polska została uznana na arenie międzynarodowej. 30 stycznia Polskę uznały Stany Zjednoczone. Francja, Wielka Brytania i Włochy uczyniły to pod koniec lutego.

Zabawne było to, że często na obrady rządu przychodziła żona Paderewskiego i mówiła, że trzeba już kończyć posiedzenie, bo mąż jest zmęczony, albo zajmowała go sprawami prywatnymi w obecności ministrów. Paderewski nie umiał powiedzieć Helenie, że to nie jest odpowiednie miejsce na rozmowy o sprawach domowych.

10 lutego premier Paderewski razem z Józefem Piłsudskim wziął udział w pierwszym posiedzeniu Sejmu – pierwszego po zaborach. Mimo różnic w koncepcjach politycznych premier i Naczelnik Państwa dobrze ze sobą współpracowali. Darzyli się szacunkiem, bo widzieli w sobie nie przeciwników, tylko patriotów o innych życiorysach. Zwolennicy Dmowskiego obawiali się, że premier stanie się „człowiekiem Piłsudskiego". Tak się nie stało, ale w listopadzie 1921 roku na wniosek Józefa Piłsudskiego Paderewski został odznaczony najwyższym polskim orderem: Orderem Orła Białego.

> MUZYK MIAŁ OGROMNY WDZIĘK. W KONTAKTACH TOWARZYSKICH ZNIEWALAŁ WSZYSTKICH. POD JEGO WRAŻENIEM BYŁ TYTUS CHAŁUBIŃSKI I PREZYDENT USA WOODROW WILSON. KOBIETY BYŁY ZAFASCYNOWANE JEGO WŁOSAMI, A MĘŻCZYŹNI TALENTEM.

Po czasach zaborów i czterech latach wojny, która zniszczyła miasta, po epidemii hiszpanki, Polska była zrujnowana. Potrzebowała pożyczki na zakup zboża i odbudowę infrastruktury. Trzeba było także silnej armii, policji, ujednolicenia prawa. Sejm uchwalił tzw. małą konstytucję, a dwa lata później konstytucję marcową.

Paderewski sfinansował gazetę codzienną. Nosiła tytuł „Rzeczpospolita" i była organem chrześcijańskiej demokracji. Redaktorem naczelnym został Stanisław Stroński, działem kultury w gazecie kierował Kornel Makuszyński, a współpracowali z nią Tadeusz Boy-Żeleński, Adolf Nowaczyński, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Stefan Żeromski i inni. W 1924 roku właścicielem gazety został Wojciech Korfanty.

Niestety, Paderewski uległ wpływom Dmowskiego i zerwał współpracę z Piłsudskim. Uznał go za demagoga i megalomana, który „uważa się za największego geniusza wszystkich czasów". Pod wpływem endecji „Rzeczpospolita" zaczęła nagonkę na Gabriela Narutowicza, kandydata na stanowisko prezydenta RP. Po wyborze Narutowicza ataki się nasiliły, doprowadzając do zabójstwa politycznego.

Po przewrocie majowym w 1926 roku Piłsudski doszedł do władzy. Paderewski sympatyzował z opozycją. W jego domu spotykali się przywódcy partii opozycyjnych.

Na polityce się nie znał, czego dowodem było potępienie paktu o nieagresji między Polską a Niemcami.

W 1936 roku w rezydencji eks premiera założono koalicję zwaną Frontem Morges. Paderewski był figurantem, a głównym przywódcą stał się generał Władysław Sikorski.

Sędziwy już muzyk bardzo przeżył agresję niemiecką na Polskę, atak Związku Radzieckiego i faktyczny rozbiór Polski. Postarzał się. Jego umiłowana ojczyzna znowu była w niewoli.

Został przewodniczącym Rady Narodowej przy rządzie emigracyjnym Władysława Sikorskiego. Zmarł 29 czerwca 1941 roku w Arlington. W warszawskiej Katedrze Świętego Jana został pochowany dopiero 51 lat później.

eprasa.pl 33022f5d4b

Mój koncert to czas spotkania z ludźmi

– Sam festiwal był cudownym spotkaniem ludzi, którzy myśleli podobnie, poruszali te same sprawy i którym zależało na zmianie naszego kraju na lepsze – mówi **Antonina Krzysztoń**, która wystąpi w Sali BHP w rocznicę I Przeglądu Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki” – w rozmowie z **Konradem Wernickim**.







Fot. arch. Antoniny Krzysztoń (4)

– Jak po 45 latach wspomina Pani I Przegląd Piosenki Prawdziwej?

– Myślę, że powinnam wspomnieć o tym, że byłam związana ze środowiskami opozycyjnymi. Na początku z ludźmi skupiającymi się wokół pisma „Robotnik”, którego twórcą był Henryk Wujec – on i jego żona Lutka organizowali pomoc dla represjonowanych uczestników wydarzeń czerwcowych w Radomiu i Ursusie (1976 r.). Bywałam więc posłańcem, chyba ze względu na swój młodzieńczy wygląd. Później inwigilowana, przesłuchiwana, wielokrotnie zamykana w areszcie śledczym – jak się wtedy mówiło – na Mostowie i nie tylko. W mieszkaniu wielokrotne rewizje... Byłam raczej wolnym strzelcem i tak to już zostało. Potem na świat przyszły dzieci, trochę się zmieniło.

O samym Przeglądzie Piosenki Prawdziwej dowiedziałam się zupełnie przypadkiem. Usłyszałam, że organizuje go Maciek Zembaty. Miałam naiwne wyobrażenie: myślałam, że każdy, kto jest związany z podziemiem i śpiewa, może po prostu przyjechać z gitarą i wystąpić.

Pojechałam z gitarzystą Andrzejem Wyrzykowskim. Kiedy zobaczyłam Maćka Zembatego na korytarzu, zaczepiłam go i powiedziałam, że też chciałabym wystąpić. Powiedział: „No to zaśpiewaj to, co chciałabyś ludziom zaśpiewać”. Zaśpiewałam mu krótki fragment, a on stwierdził po prostu: „Dobrze, śpiewasz drugiego dnia”.

Sam festiwal był cudownym spotkaniem ludzi, którzy myśleli podobnie, poruszali te same sprawy i którym zależało na zmianie naszego kraju na lepsze. To była okazja usłyszenia ludzi, którzy wyrażali się poprzez pieśń, a o których istnieniu przedtem nie miałam pojęcia.

– To był Pani debiut na dużej scenie?

– Wcześniej śpiewałam przyjaciołom, znajomym, a to, że zadebiutowałam na tym festiwalu, w tym właśnie momencie i miejscu, i przed tak niezwykłą publicznością, to mnie NAZNACZYŁO. Przebywaliśmy wśród ciekawych, wspaniałych ludzi. Zaprzyjaźniliśmy się, słuchaliśmy nawzajem. Wszystko to zapisało się w mojej pamięci i sercu. Tam nie było przypadkowej publiczności i przypadkowych artystów.

eprasa.pl 33022f5d4b



Wcześniej śpiewałam znajomym i przyjaciołom na kameralnych spotkaniach, więc w środowisku wiedziono, że to robię. Weszłam na scenę. Przede mną kilkutysięczna publiczność. Odważyłam się – skoczyłam na główkę i zaśpiewałam.

– A jak wspomina Pani cały „karnawał Solidarności" – Sierpień '80 i rok 1981, gdy była Pani m.in. w gdańskiej Hali Olivia?

– Czuć było, że wygraliśmy. Ale to wszystko przecież zaczęło się wcześniej – od wydarzeń w Radomiu i Ursusie, a przede wszystkim od pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Gdy papież Jan Paweł II przyjechał i odprawiał Mszę Świętą, rozejrzałam się wokół i zobaczyłam morze ludzi. Czułam, że wszyscy jesteśmy razem myślą, sercem i duchem, ale także swoją odrębność, która nie była przeciw nikomu, w której jest piękno własnej tożsamości. Nie dziwi mnie, czemu dziś jest to torpedowane, a św. Jan Paweł II atakowany. Na pierwszej Mszy odprawionej przez Ojca Świętego w Warszawie zobaczyłam morze szczęśliwych ludzi. Przyszły całe rodziny z małymi dziećmi. Byli wśród nas tak wierzący, jak i niewierzący. Byliśmy – i wciąż jesteśmy – szczęśliwcami, którzy mogli tego doświadczyć. Poczuliśmy tchnienie Ducha i to, że moc jest w naszej jedności i różnorodności, a bez tego wszystkiego Solidarność nie miałaby szans – nie zapominajmy o tym!!!

Dlatego od lat tak bardzo podkreślam, jak ważne jest nasze pojednanie i szukanie tego, co nas łączy, wspólne szukanie rozwiązań. Czasem – jak nie da się inaczej – idąc na kompromisy... Wtedy, gdy byliśmy razem, byliśmy silni. Możemy mieć różne poglądy, ale musimy się szanować, brać pod uwagę, że sami też możemy się mylić! Jeśli tego nie zrozumiemy, nie mamy jako społeczeństwo szans. Musimy się obudzić.

– Papież dał wtedy Polakom nadzieję. Często mówi się, że „Polacy się wtedy policzyli".

– To było, tak jak wspominałam, morze szczęśliwych ludzi. Jeden z nas stał się tak ważną osobistością dla całego świata. Mówiliśmy: „Nasz Ojciec Święty" i każdy na tym globie mógł o nim tak mówić. Ludzie będący u władzy musieli być prze-ra-że-ni! Zobaczyli początek swojego końca. Dziś nikt nie bagatelizuje ofiary olbrzymiego poświęcenia robotników, ludzi podziemia i wszystkich tych, którzy włączyli się w walkę pismem, działaniem, nauką, drukiem – jak wielu z nich zapłaciło za to zdrowiem i życiem.

BYŁAM ZWIĄZANA ZE ŚRODOWISKAMI OPOZYCYJNYMI. NA POCZĄTKU Z LUDŹMI SKUPIAJĄCYMI SIĘ WOKÓŁ PISMA „ROBOTNIK".

– Czuła Pani wtedy, jako początkująca artystka, szczególną misję?

– Wtedy w ogóle nie przypuszczałam, że będę śpiewać zawodowo. Mój pierwszy występ w stanie wojennym dla nieznajomych mi ludzi odbył się w małej przykościelnej salce w parafii św. Stanisława Kostki w Warszawie. Pewnego dnia na Placu Komuny Paryskiej zaczepił mnie młody ksiądz. Szłam z gitarą i to zapewne zwróciło jego uwagę. Spojrzałam mu w oczy... sporo mówił. Pomyślałam: „Albo on jest święty, albo trzeba uważać". Wzmogłam czujność. Poprosił, bym zaśpiewała dla grupki jego studentów. Oczywiście nie znał mnie ani nie wiedział, jak śpiewam. Zgodziłam się. Tym księdzem, jak może się Pan domyślać, był bł. Jerzy Popiełuszko. Dostałam jeszcze od niego dwie pary żółtych i zielonych kaloszków dla moich córeczek. Martwił się sytuacją ludzi, myślał o nich, dzielił się z nimi. Żył szybko, jakby miał przeświadczenie, że jego dni są policzone.

– 22 sierpnia odbędzie się Pani koncert w Sali BHP Stoczni Gdańskiej – miejscu symbolicznym, gdzie podpisano Porozumienia Sierpniowe. Czy ten anturaż wpłynie na występ?

– Taka przestrzeń, gdzie tak wiele osób się spotkało, gdzie budziło się tyle emocji, już nigdy pusta nie będzie. Zawsze będzie wpływać na tych, którzy tu przychodzą. Poprzez piosenki i pieśni szukam przestrzeni, w której jest miejsce dla każdego. Na pewno zaśpiewam trzy piosenki z tamtego czasu, ale pojawią się także piosenki z różnych okresów mojego śpiewania. Śpiewam dla wszystkich i dla każdego z osobna.

– Z jakimi oczekiwaniami publiczność powinna przyjść na ten koncert?

– Chcę, by ten koncert był czasem spotkania dla każdego, kto się na niego uda.

– Czy dzisiaj czuje się Pani związana z Solidarnością jako ruchem czy instytucją?

– Wtedy wszyscy byliśmy ruchem Solidarności. Dziś robię po prostu swoje – dokładam własną cegiełkę do budowania relacji między ludźmi. Bardzo ucieszyłam się z zaproszenia do Sali BHP. Chcę, żeby ten koncert był czasem prawdziwego spotkania z ludźmi. Razem z moimi muzykami przygotowujemy się do tego wydarzenia. Zapraszam wszystkich.

Antonina Krzysztoń – piosenkarka, kompozytorka i autorka tekstów. Wystąpiła na I Przeglądzie Piosenki Prawdziwej „Zakazane Piosenki" w 1981 r. w Gdańsku.

eprasa.pl 33022f5d4b

KSIĄŻKA

Nawrocki na literackich ścieżkach

Mówiąc szczerze, **bałem się tej książki**, która jest wywiadem rzeką. Bałem się, ponieważ politycy, którym interlokutor daje się wygadać, z reguły objawiają się w swym słowotoku jako pozerzy, bufoni, pieczeniarze i moraliści. Jednak moje obawy okazały się płonne.

Sebastian Reńca

Rozmowa prof. Andrzeja Nowaka z dr. Karolem Nawrockim jest właśnie wywiadem rzeką, który już został omówiony na łamach „TS" (nr 29/2026) przez moją redakcyjną koleżankę. Agnieszka Żurek trafnie porównała karierę obecnego prezydenta Rzeczypospolitej z karierą amerykańskiego wiceprezydenta Jamesa D. Vance'a. Ja chciałbym jednak zwrócić uwagę na nieco inne wątki.

Choć niedawno minął rok od złożenia przysięgi przez prezydenta Karola Nawrockiego przed Zgromadzeniem Narodowym, chciałem się skupić nie na pracy urzędnika państwowego, ale na innym aspekcie jego życiorysu. Na książkach, które formowały nasze pokolenie, czyli na wątku literackim.

Beznadzieja i nadzieja

Prezydent opowiada o dorastaniu w latach 90. Łatwo mi zrozumieć tę opowieść, ponieważ ja i Karol Nawrocki jesteśmy w podobnym wieku. Prezydent jest ode mnie młodszy o 7 lat. I ja, i on pochodzimy z miast, w których rodziła się Solidarność; w których robotnicy podpisywali z komunistami dwa z czterech najważniejszych porozumień sierpniowo-wrześniowych w 1980 r. On pochodzi z Gdańska, ja z Dąbrowy Górniczej. Tak jak Karol Nawrocki jestem historykiem, który w przeszłości boksował, o wiele krócej od obecnego prezydenta, ale jednak.

My, „gówniarze z lat 70. i 80." (tak o nas śpiewała szczecińska formacja Kolaboranci), mieliśmy paskudną młodość. Co z niej zapamiętałem? Szarość kamienic, brud na ulicach, biedę w domach, patrole dzielnych ormowców, akademie „ku czci" z dzielnymi kombatantami z AL, długie kolejki do sklepów... Mówiąc krótko: beznadzieję lat 80., po których przyszła wraz z rokiem 1989 wolna Polska. Niestety, nie było wówczas kolorowo.

Kończyliśmy podstawówkę, a na lekcjach historii temat zbrodni w Katyniu nadal był nieobecny. Języka rosyjskiego wciąż uczyliśmy się z podręczników wielbiących naszego najwierniejszego sojusznika, czyli Związek Sowiecki. Jednak trzeba się było uczyć, by zdać maturę i studiować, innego wyjścia nie było. Po pierwsze, każdy z nas wiedział, że i tak nie będzie dla nas pracy, gdyż bezrobocie sięgało wówczas zenitu. Po drugie, nikt normalny nie chciał wtedy iść do wojska, które wciąż było skostniałą komuszą armią pełną sadystów i frustratów.

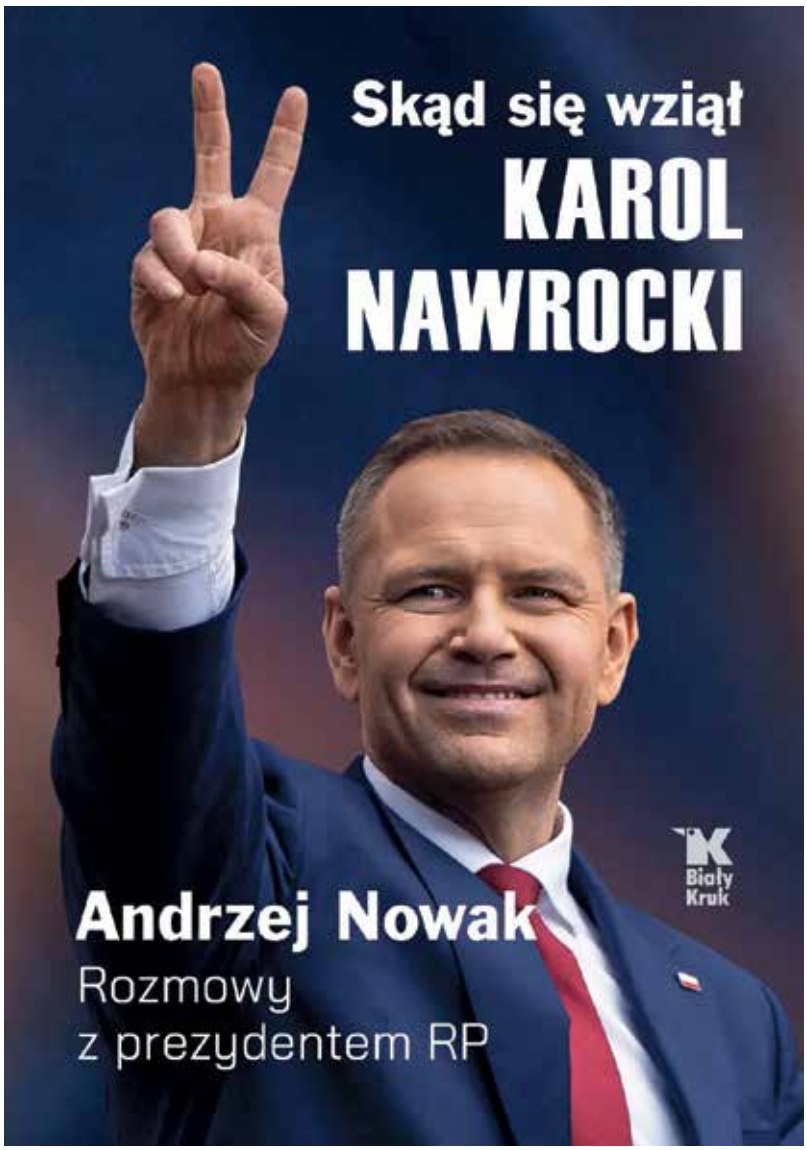
Co jeszcze było paskudne w tamtych latach? Totalny upadek kultury, wszelakiej, zarówno osobistej, jak i tej „wyższej". By jakoś przetrwać, uciekaliśmy w alternatywną muzykę i książki.

MŁODY KAROL NAWROCKI ZACHWYCAŁ SIĘ TWÓRCZOŚCIĄ WALDEMARA ŁYSIAKA, KTÓREGO JUŻ JAKO PREZYDENT ODZNACZYŁ NAJWYŻSZYM ODZNACZENIEM PAŃSTWOWYM, CZYLI ORDEREM ORŁA BIAŁEGO.

Łysiak jako mistrz

W latach 90. społeczeństwo było głodne dobrych książek, a te sprzedawano... na ulicy. Robert Ludlum, Frederick Forsyth, Alistair MacLean, James Jones, James Clavell... Łóżka polowe uginały się od książek ich autorstwa. Szybko przyszedł czas na ambitniejsze lektury i zaczęliśmy sięgać po klasykę, którą wyszukiwaliśmy, peregrynując po antykwariatach. Dzięki temu, smakując na ławce w parku alpagę, kłóciliśmy się o to, czy Marek Hłasko był socrealistycznym pisarzem, czy nim nie był. Jednak tak naprawdę zachwycaliśmy się przede wszystkim

eprasa.pl 33022f5d4b



kolejnymi przeczytanymi książkami Waldemara Łysiaka. Pisarza, którego twórczością również zachwycał się młody Karol Nawrocki. Pisarza, którego już jako prezydent odznaczył najwyższym odznaczeniem państwowym, czyli Orderem Orła Białego (Niedawno Jerzy Surdykowski napisał w „Rzepie", że „prostomyślny kibol", czyli prezydent Naworcki, niszczy „renomę Orderu Orła Białego", bo odznaczył nim Waldemara Łysiaka. Oj, zabolał ten order dla wielkiego pisarza. Bardzo zabolał. Salon aż piszczy i tupie nóżkami, a rączkami w klawiatury).

Łysiaka podsunął Nawrockiemu jego ojciec. Prezydent, mówiąc o tym prof. Nowakowi, przyznał, że pasja jego ojca ukształtowała go „w stu procentach" i miała na jego życie realny wpływ. Książki Waldemara Łysiaka nie opuszczały Nawrockiego przez cały okres czasów nastoletnich, aż do trzydziestki. „Wracałem do nich wielokrotnie" – przyznaje prezydent i dodaje: „Myślę, że one kształtowały mnie też w takim wymiarze męskości – poza całym tym wymiarem ulicznym, który noszę w sobie. Zabierały mnie w przestrzeń, w której można mieć wpływ na losy świata, na to, co dzieje się wokół, ale z drugiej strony budowały też pewien charakter". Przyznaję, że mam tak samo i również jak prezydent uważam, że choć ulubionych pisarzy mam wielu, to Łysiak zajmuje wśród nich miejsce szczególne na podium.

Piasecki jako mistrz

O innym pisarzu, który również plasuje się w mojej pierwszej dziesiątce ulubionych polskich beletrystów, Nawrocki mówi, że jest dla niego tak naturalny, „jakby był częścią mnie samego". Chodzi o Sergiusza Piaseckiego, żołnierza, awanturnika, przemytnika nie stroniącego od wódki i kokainy, wywiadowcy, bandyty i w końcu pisarza, który narodził się w celi jednego z najcięższych więzień II Rzeczypospolitej, czyli na Świętym Krzyżu. Piasecki jest dla Nawrockiego „kimś integralnym".

Tak jak Karol Nawrocki i ja, będąc w Wilnie, chodziłem śladami Sergiusza Piaseckiego oraz Józefa Mackiewicza. Ten drugi wielki pisarz jednak nie przypadł do gustu prezydentowi. Owszem, czytał jego książki, ale do nich nie wraca, ponieważ nie czuje się w jego prozie „na tyle swobodnie".

Ze mną jest całkiem inaczej, co kilka miesięcy muszę sięgnąć po którąś z powieści Mackiewicza, który – co tu dużo mówić – według mnie był o wiele lepszym pisarzem niż Piasecki.

Właśnie nie kto inny, tylko Karol Nawrocki zrobił to, na co nie było stać jego poprzedników, uhonorował Waldemara Łysiaka, pisarza znanego ze swych konserwatywnych i antykomunistycznych poglądów, oraz to za jego prezydentury sprowadzono do Polski szczątki Sergiusza Piaseckiego. Wtedy, we wrześniu ubiegłego roku, prezydent Nawrocki mówił podczas w ceremonii pogrzebowej Piaseckiego:

eprasa.pl 33022f5d4b

– Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy i życiorysu, i literatury Sergiusza Piaseckiego, aby mówić prawdę o bolszewizmie, o systemie komunistycznym, o tym, jakim zagrożeniem dla Polski i dla całej Europy jest postsowiecka, neoimperialna Rosja.

W rozmowie z prof. Nowakiem, już podsumowując wątek Piaseckiego, Nawrocki zdradził, że w czasach licealnych czytał i Piaseckiego, i Łysiaka, ale też Pismo Święte. „To wszystko było dla mnie integralną częścią formacji" – powiedział.

Mickiewicz i Sienkiewicz

Gdy Andrzej Nowak pyta Karola Nawrockiego, czy były jeszcze inne lektury, do których wracał w młodości, odpowiada: „Jeśli miałbym oddać emocje, to bardziej wciągał mnie romantyzm niż pozytywizm. To pewnie coś mówi o kształcie duszy".

Oczywiście, że mówi. Ponadto bez romantyków bylibyśmy w innym miejscu, niż jesteśmy. W odróżnieniu od Nawrockiego, mnie jednak w szkole Mickiewicz i Słowacki nudzili, być może przyszły prezydent miał lepszych nauczycieli polskiego niż ja, odkryłem ich już jako człowiek dorosły. Dlatego zgadzam się z Karolem Nawrockim, że dzięki romantykom można „naprawdę zrozumieć polskość".

> ***Jeśli miałbym oddać emocje, to bardziej wciągał mnie romantyzm niż pozytywizm. To pewnie coś mówi o kształcie duszy.***
>
> KAROL NAWROCKI

Choć prezydent nie wspomina o Słowackim, to w tym momencie rozmowy powinien pojawić się właśnie Juliusz i ten fragment z jego twórczości: „Szli krzycząc: Polska! Polska! – wtem jednego razu/Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu". Iluż mamy i mieliśmy takich krzykaczy? ...

W dalszej części rozmowy Andrzej Nowak pyta o Henryka Sienkiewicza, ponieważ dla jego pokolenia z dekady lat 60. był „bardzo ważnym punktem odniesienia". Nawrocki odpowiada, że zna „Trylogię", którą przeczytał w młodości, ale do niej już nie wrócił. Za to wraca do ekranizacji, do „Pana Wołodyjowskiego" oraz „Potopu". „Czasami mam ochotę obejrzeć nawet cały «Potop» w wersji kinowej, ponad pięć godzin – dobrze czuję się w tym klimacie" – mówi prezydent. Czy to przypadek? Wszak Kmicic to wypisz wymaluj Piasecki. Dokonuje się w nich przemiana, która jest porównywalna z tą, jakiej doświadczył Szaweł z Tarsu, stając się apostołem Pawłem.

ZA PREZYDENTURY KAROLA NAWROCKIEGO SPROWADZONO DO POLSKI SZCZĄTKI SERGIUSZA PIASECKIEGO.

Przestępczy tandem

Gdy rozmowa panów Nowaka i Nawrockiego schodzi na książkę „Spowiedź «Nikosia» zza grobu", którą ówczesny dyrektor Muzeum II Wojny Światowej wydał pod pseudonimem „Tadeusz Batyr", brakuje mi jednego – nawiązania do „Dobrego" Waldemara Łysiaka, wszak ta powieść to obraz kryminalistów, których ścieżki przecinają się z drogą przestępców z peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa.

Stuprocentową rację ma Nawrocki, gdy mówi, że niemożliwe było w PRL, aby „działająca na większą skalę zorganizowana grupa przestępcza funkcjonowała przez dłuższy czas bez powiązań z aparatem państwowym – czyli ze służbami specjalni czy konkretnie Służbą Bezpieczeństwa". W kolejnym zdaniu prezydent dodaje: „Można było kraść rowery czy włamywać się do piwnic na własną rękę, ale jeśli ktoś chciał prowadzić działalność przestępczą na większą skalę – choćby przemyt samochodów z Niemiec – oznaczało to w praktyce konieczność współpracy z tym systemem".

Ta współpraca kryminalistów z bandytami z SB wcale nie skończyła się wraz z rokiem 1989. Ona była kontynuowana również w kolejnej dekadzie i później. „To był świat, w którym funkcjonariusze służb byli jednocześnie liderami grup przestępczych" – mówi Karol Nawrocki, a wie, co mówi, bo jego książka jest nie tylko świetna warsztatowo, ale również dobrze się ją czyta, co nie zawsze idzie w parze w przypadku książek historycznych.

Gdy książka „Batyra" ukazała się w 2018 r., nikt nic nie wiedział o jej autorze. Dopiero kampania wyborcza spowodowała, że dziennikarze odkryli, iż jej autorem jest kandydat na prezydenta RP. Gdy zastanawiali się, skąd taki pseudonim obrał sobie Nawrocki, pisali przy tym bzdury i podkreślali, że „ostateczna odpowiedź na pytanie, czym kierował się Nawrocki przy wyborze swojego pseudonimu, pozostaje nieznana". Otóż w rozmowie z prof. Nowakiem prezydent zdradza, czym się kierował. Tadeusz to jego drugie imię, zaś „batyr" w językach tureckich oznacza bohatera, wojownika.

„Skąd się wziął Karol Nawrocki. Rozmowy z prezydentem RP", Andrzej Nowak, Biały Kruk, Kraków 2026.

eprasa.pl 33022f5d4b

MIX PŁYT Bartosz Boruciak

CHARLI XCX – „MUSIC, FASHION, FILM”
WYD. ATLANTIC



Po gigantycznym sukcesie „Brat” Charli XCX mogła bezpiecznie kontynuować sprawdzoną formułę, ale „Music, Fashion, Film” pokazuje artystkę, która zdecydowanie woli komplikować własną historię. Tym razem klubowa elektronika ustępuje miejsca bardziej rockowej, surowej estetyce, choć charakterystyczna popowa bezczelność pozostaje nietknięta. „Rock Music”, „SS26” czy „Card Declined” brzmią jak świadoma zabawa wizerunkiem gwiazdy, która jednocześnie fascynuje się kulturą celebrycką i próbuje ją podważać. Produkcja A.G. Cooka i Finna Keane’a jest pełna kontrastów, przesterów i zaskakujących zmian nastroju. Szczególnym momentem pozostaje finałowe „No One Lasts Forever” z udziałem Davida Cronenberga. To album mniej natychmiastowy niż „Brat”, ale właśnie dlatego ciekawy: Charli ponownie odmawia stania w miejscu.

BABY QUEEN – „I HOPE YOU DON’T REMEMBER ME”
WYD. INSANITY RECORDS LIMITED / SONY MUSIC



Na drugim pełnowymiarowym albumie Baby Queen wyraźnie oddala się od kolorowego alt-popu, który przyniósł jej rozpoznawalność. „I Hope You Don’t Remember Me” jest ciemniejsze, bardziej gitarowe i emocjonalnie znacznie mniej komfortowe. Już otwierające „Abigail” ustawia ton płyty, na której Bella Latham zagląda w miejsca własnej pamięci, do których najwyraźniej długo nie chciała wracać. „Feel Something”, „Permanently Obsessed”, „Word Vomit” czy świetne „The Protagonist” pokazują, że jej największym atutem nadal pozostaje umiejętność ubierania bardzo osobistych historii w melodie, które szybko zostają w głowie. Tym razem pod chwytliwymi refrenami znajduje się jednak więcej melancholii, gniewu i niepewności. To dojrzalsza Baby Queen – mniej zainteresowana kreowaniem bohaterki własnej opowieści, a bardziej konsekwencjami tego, co wydarzyło się wcześniej.

THE STROKES – „REALITY AWAITS”
WYD. RCA



Siódmy album The Strokes nie próbuje odtwarzać młodzieńczej energii „Is This It”. Zespół doskonale wie, że od tamtej płyty minęło ćwierć wieku, dlatego zamiast nostalgii proponuje materiał bardziej gorzki, dziwny i momentami niepokojący. Wyprodukowane przez Ricka Rubina „Reality Awaits” zachowuje charakterystyczne gitarowe DNA grupy, ale chętnie rozsadza je syntezatorami, przetworzonym wokalem Juliana Casablancasa i stylistycznymi skrętami. „Going Shopping” łączy chwytliwość z ironicznym komentarzem do konsumpcji, podczas gdy „Psycho Shit”, „Dine N’Dash” czy „Tyrants of the Mellow Moon” pokazują bardziej mroczne oblicze zespołu. The Strokes brzmią tutaj jak muzycy, którzy nie mają potrzeby udowadniania swojej pozycji. „Reality Awaits” jest nierówne i ekscentryczne, lecz właśnie w tej nieprzewidywalności kryje się jego największa siła.

MAYDAY PARADE – „SUGAR”
WYD. MANY HATS ENDEAVORS



„Sugar” zamyka ambitny, trzyczęściowy projekt Mayday Parade rozpoczęty przez „Sweet” i kontynuowany na „Sad”. Obawy, że po napisaniu niemal trzydziestu utworów zespołowi zacznie brakować pomysłów, okazują się nieuzasadnione. Finał trylogii ma sporo energii i przypomina, dlaczego grupa od dwóch dekad pozostaje jednym z najbardziej charakterystycznych przedstawicieli emocjonalnego pop-punku. „Blame It On The Youth”, „Sweet Sad Sugar” czy „Weekend Music” wykorzystują znajome składniki: mocne gitarowe melodie, duże refreny i wokal Dereka Sandersa balansujący między nostalgią a młodzieńczą intensywnością. Gitary ponownie dostają tu sporo przestrzeni, a jednocześnie zespół nie próbuje udawać, że nadal jest w połowie lat dwutysięcznych. „Sugar” nie dokonuje rewolucji, ale jako zakończenie jubileuszowej trylogii działa bardzo dobrze – melodyjne, szczere i napisane z wyczuciem własnej historii.

eprasa.pl 33022f5d4b

FILM



Fot. kadr z filmu

Sceny z (po)życia małżeńskiego

Znamy to z kina nie od dziś. Cztery osoby, wspólna przestrzeń. W środku: szepty i krzyki, zadry i szpilki. Śmiech i wrzask na całe gardło, powaga w objęciach błazenady, wysoka garda i ciosy poniżej pasa. Pękające fasady, opadające maski, nagie emocje wyciągane spod strojów wieczorowych. **Szczerość źródłem cierpień**.

Sebastian Pytel

Publiczność lubi takie spotkania, aktorzy również, a i dla reżyserów jest to świetna okazja do wykazania się. Nie dziwią więc kolejne, lepsze lub gorsze, iteracje sprawdzonego schematu. Skupmy się na tych lepszych: od słynnego „Kto się boi Virginii Woolf" Mike'a Nicholsa, przez „Rzeź" Romana Polańskiego, aż po całkiem świeżą „Dramę" Kristoffera Borgliego. Ekranowe konflikty wewnątrz par na wczesnym lub późnym etapie pożycia to znakomity przyczynek do (w miarę) bezpiecznego sprawdzenia kondycji własnego związku. Można się z kimś utożsamić, można też usłyszeć kilka gorzkich słów prawdy. Kameralna atmosfera służy zarówno pysze, jak i pokucie.

„Zaproszenie" Olivii Wilde, amerykański remake hiszpańskiego filmu „Sentimental", idealnie wpisuje się we współczesny nurt słodko-gorzkich opowieści o relacjach. Mamy małżeństwo z pewnym stażem,

eprasa.pl 33022f5d4b

w którym nuda dawno zastąpiła fajerwerki, a łóżko służy głównie do odpoczynku pleców. Joe (Seth Rogen) jest nauczycielem muzyki, ale jeden rzut oka na jego zblazowaną twarz wystarczy, by zrozumieć, że za tym wyborem nie stało powołanie. Angela (Olivia Wilde) natomiast żyje głównie domem, który wciąż upiększa, i córką, która dorasta, a tak naprawdę zajmuje się wszystkim, co odgania myśli o własnym nieszczęściu. Piętro nad nimi mieszkają sąsiedzi (Edward Norton i Penélope Cruz) w podobnym wieku, ale donośne odgłosy z ich mieszkania wyraźnie sugerują, że z czym jak z czym, ale z wzajemną bliskością nie mają problemu. Kierowana ciekawością żona postanawia zaprosić ich na kolację. Różnice widać jak na dłoni: spokój gości zestawiony z nerwowością gospodarzy na starcie zdradza, której ze stron się nie układa. Jaka jest więc tajemnica ludzi z góry? Cóż, w sypialni stawiają na otwartość.

Choć szkic fabuły brzmi jak artykuł z Onetu czy innych „Wysokich Obcasów", zapewniam, że „Zaproszenie" to nie ten przypadek, gdzie szczypta perwersji przykrywa intelektualną pustkę. Jeśli miałbym film Olivii Wilde do czegoś przyrównać, to byłaby to „Dzika namiętność" Jonathana Demme, rzecz pozornie błaha, krotochwilna, a jednak skrywająca głębsze wnętrze. Wilde przez pryzmat ukrytych pragnień i powierzchownej pikanterii pokazuje głęboki kryzys małżeński, który zaczął się od braku szczerej rozmowy. Unikając drażliwych tematów, krok po kroku małżonkowie wpadali w sidła obojętności. Obustronna bierność wzbierała z czasem, aż przybrała rozmiary klęski przyzwyczajenia, zaniku czułości, codziennego dystansu. Jak u Demme prawie przypadkowe, impulsywne spotkanie jest zawoalowaną próbą odpowiedzi na pytanie o przyszłość. Sprowokowane naruszenie strefy (dys)komfortu staje się przyczynkiem do wyjścia z marazmu, początkiem szalonej walki o prawo do szczęścia. Podobnie do Demme Wilde ma znakomity komediowy timing, bezbłędnie czuwa nad nastrojem i tempem poszczególnych scen – wie, kiedy trzeba zwolnić, a kiedy przyspieszyć. I kiedy spuentować żart. W rezultacie powstał naprawdę zabawny film na ważny temat.

„Zaproszenie" to jednak nie reżyserskie, a aktorskie tour de force Olivii Wilde. Autorka „Nie martw się, kochanie" stworzyła rolę, którą możemy nazwać oscarową, bez popadania w przesadę: pełną wyzwań, częstych zmian tonacji i skali, łączącą zupełnie przeciwstawne bieguny. Wilde miesza ogień z wodą – jej postać ma wszystko na wierzchu i drugie tyle pod spodem; to kobieta pod presją, głównie własną, jednocześnie rozedrgana i zdecydowana, o silnym, choć łamiącym się głosie. Gdyby ktoś chciał ją namalować, musiałby zacząć od wyraźnych, ostrych konturów, by nagle, przechodząc do opisu wnętrza, użyć rozbryzgów godnych Jacksona Pollocka (jak w „Wodnych ścieżkach" oprawionych masywną, lecz popękaną drewnianą ramą). Spektaklem jest patrzeć na jej przemianę: od stresu upuszczanego każdym porem skóry przez chwile wytchnienia i głębsze oddechy, aż po wyrzucenie żalu i spełnienie marzenia bycia wysłuchaną oraz – co ważne – otwartą na dialog.

Ale największą zasługą pamiętnej Trzynastki z „Doktora House'a" jest niewymuszony sposób podania tego huraganu wewnętrznych uczuć. To żadne granie pod publikę czy umizgi w kierunku krytyki filmowej, to pełna, kompletna, przemyślana i przepracowana rola, odegrana na sto dwadzieścia procent. Choćby dla niej samej warto poświęcić czas na seans.

„Zaproszenie" (The Invite.), reżyseria: Olivia Wilde, scenariusz: Will McCormack, Rashida Jones, obsada: Olivia Wilde, Seth Rogen, Edward Norton, Penélope Cruz, gatunek: komedia, dramat, produkcja: USA 2026, czas: 108 minut.

„ZAPROSZENIE" OLIVII WILDE, AMERYKAŃSKI REMAKE HISZPAŃSKIEGO FILMU „SENTIMENTAL", IDEALNIE WPISUJE SIĘ WE WSPÓŁCZESNY NURT SŁODKO-GORZKICH OPOWIEŚCI O RELACJACH.

POWSTAŁ NAPRAWDĘ ZABAWNY FILM NA WAŻNY TEMAT.

eprasa.pl 33022f5d4b

KIESZONKOWY ATLAS ŚWIATA

KIERUNEK: WIELKA SOWA

Fosa, studnia i Czarny Pies

Agnieszka Żurek

Malbork kojarzy się zamkiem, Krzyżakami i z wycieczkami odbywanymi w podstawówce. Jeśli ostatni raz odwiedziliśmy to miasto, będąc dziećmi, istnieje ryzyko, że uznamy je za „odhaczone" i nie pokusimy się o obejrzenie go już dorosłymi oczami. A naprawdę warto!

Najpierw kilka uwag praktycznych. Dojazd do Malborka jest łatwy i przyjemny (zarówno pociągiem, jak i samochodem), zasadzką mogą okazać się jednak miejsca parkingowe.

Zwiedzanie z GPS-em

W sezonie miejsca parkingowe znajdujące się najbliżej zamku są pioruńsko drogie, warto więc wiedzieć, że np. tuż przy dworcu PKP znajduje się parking miejski, gdzie za cały dzień postoju zapłacimy ok. 15 złotych. Stamtąd mamy jakiś kwadrans spaceru do zamku.

Bilety wstępu można kupić online, jednak na miejscu także nie ma z tym większego problemu. Znajdują się tu zarówno kasy, jak i samoobsługowe automaty biletowe. Do wyboru mamy kilka wersji tras: historyczną, spacerową oraz rodzinno-wakacyjną. Można zwiedzać zamek z przewodnikiem „ludzkim" lub samodzielnie, z przewodnikiem głosowym. Dostępnych jest kilka wersji językowych: polska, angielska, niemiecka i rosyjska. Warto odnotować, że zestaw słuchawkowy jest wyposażony w GPS, co ułatwia odnalezienie się w zamku i okalającym go terenie. Głos w słuchawce jest przyjemny dla ucha i opowiada ciekawie, nie jest to ani nudny naukowy wykład, ani też „suchary wuja Janusza". Ciekawostki zostały zbalansowane z informacjami historycznymi w optymalnych proporcjach. Ważna uwaga! Jeśli chcemy wejść na zamkową wieżę, z której rozciąga się piękna panorama na fortyfikacje oraz leniwą, otoczoną zielenią rzekę Nogat, musimy zaopatrzyć się w osobny bilet jeszcze przed rozpoczęciem zwiedzania. Nie można go kupić na miejscu (schody prowadzące na wieżę znajdują się już na terenie zamku) – ani od strażnika, ani nawet online.

Jaką trasę wybrać? Polecam najdłuższą, historyczną. Zwiedzanie zajęło nam około trzech godzin, a pod koniec dnia krokomierz pokazał prawie 10 km. Myślę jednak, że jakaś połowa tego dystansu to przemierzanie szlachetnych komnat dostojnej budowli, a pozostałe 5 kilometrów to spacerowanie po mieście w poszukiwaniu knajpy (restauracji jest tu do wyboru, do koloru, rozmaitych kuchni – od klimatów orientalnych po schabowe), spacer nad Nogatem, dojście z – i na parking oraz... buszowanie w sklepach z używaną odzieżą (w poszukiwaniu płaszcza komtura, rzecz jasna). Trasa historyczna jest możliwa do pokonania z dziećmi, nasza ekipa podró-

> Malbork niekoniecznie kojarzy się z **siedzibą polskich władz**, a przecież od połowy XV wieku aż do rozbiorów był on królewską rezydencją.

eprasa.pl 33022f5d4b



Fot. Adobe Stock

żowała z rezolutną siedmiolatką i choć co prawda dziewczynka po powrocie do Warszawy zasnęła w metrze na stojąco, to wyprawa do Malborka bardzo jej się podobała. Jeśli jednak nie są Państwo, tak jak my, sadystami, dzieciom można zaproponować krótszą wersję interaktywnego zwiedzania z przewodnikiem – animatorem, który pokazuje im zamek poprzez zabawę.

Najbardziej atrakcyjnym punktem zamku z punktu widzenia dzieci był zwodzony most nad fosą, „zęby" podnoszonej żelaznej bramy, fragmenty średniowiecznych malowideł (warto wiedzieć, że oryginalne ściany zamkowych wnętrz były różnokolorowe) oraz filmik przedstawiający odtworzone cyfrowo zgromadzenie Krzyżaków w „środowisku naturalnym". Dorosłym najbardziej podobał się wspaniale odrestaurowany (z zachowanymi średniowiecznymi elementami) zamkowy Kościół Najświętszej Marii Panny. Gdybym miała udać się na zwiedzanie jeszcze raz, wybrałabym nocną odsłonę zamku i podziwianie go w blaskach pochodni i przy dźwiękach muzyki. Ta wersja dostępna jest od początku maja do końca sierpnia. Zamek jako taki jest obiektem całorocznym, choć zimą godziny zwiedzania są skrócone. Z praktycznych informacji warto wiedzieć, że zamek oferuje od początku kwietnia do końca września bezpłatną „poczekalnię" dla psów i kotów pod warunkiem posiadania aktualnej książeczki szczepień zwierzaka.

Zamek w Malborku w polskie ręce trafił dopiero w roku 1457 – i to nie wywalczony w boju, ale... **kupiony**.

Duchy straszą za darmo

Być może „chody", jakimi w obiekcie cieszą się czworonogi, mają związek z pradawną zamkową legendą o Czarnym Psie, który nocą „patroluje" zamkowe korytarze, a wyprawom tym towarzyszą przeraźliwe wycie oraz nagłe spadki temperatury. Czy to jedyne zjawisko nadprzyrodzone związane z Malborkiem? Szanujmy się, jest zamek, są i duchy. Wprawdzie zazwyczaj zamkowe obowiązki nocnych przechadzek w bieliźnie i pobrzękiwania łańcuchami pełni Biała Dama, tu jest jednak nieco inaczej, dama bowiem – wyprzedzając o kilka stuleci nowoczesne trendy poprawności politycznej – jest czarna. Wieść niesie, że straszy tu duch córki surowego krzyżackiego komtura, która zakochała się w polskim rycerzu i została za to skazana przez swojego ojca na okrutną śmierć na zamkowym dziedzińcu. Nieszczęsna dusza błąka się podobno do dziś po zamkowych korytarzach odziana w czarną suknię i z twarzą zakrytą czarnym woalem.

Spotkanie z duchem jest (chyba) darmowe (może zostać okupione najwyżej utratą zmysłów), ale za wejście do zamku trzeba niestety dość

eprasa.pl 33022f5d4b

sporo zapłacić. Bilet z przewodnikiem dla dorosłej osoby to wydatek 80 złotych, nocne zwiedzanie kosztuje stówę, no ale trudno. Warto! Aby móc zwiedzić zamek bezpłatnie, trzeba się trochę postarać. Ale tylko trochę. Wystarczy bowiem być kawalerem Orderu Virtuti Militari i/lub Orderu Orła Białego. No dobrze, nie tylko. Bez biletu do obiektu wejdą także odznaczeni Orderem Zasługi Rzeczpospolitej Polskiej, Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, pracownicy muzeów wpisanych do Państwowego Rejestru Muzeów, członkowie ICOM (Międzynarodowej Rady Muzeów) oraz wymienieni w odpowiedniej ustawie posiadacze Karty Polaka i weterani. I, co warto odnotować, dzieci do lat siedmiu. Zamek organizuje lekcje muzealne dla szkół, a także prowadzi zajęcia dla osób starszych, studentów uniwersytetu trzeciego wieku i członków klubów seniora.

Zamek w Malborku słusznie kojarzy się z Zakonem Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie – Krzyżacy go bowiem zbudowali, tutaj też znajdowała się siedziba komtura i wielkich mistrzów zakonu. W mniejszym stopniu kojarzy się on z siedzibą polskich władz, a przecież od połowy XV wieku aż do rozbiorów był on królewską rezydencją. O ile Grunwald to niewątpliwie nasz historyczny sukces, o tyle samego zamku nie udało się wówczas zdobyć. W polskie ręce trafił dopiero w roku 1457 – i to nie wywalczony w boju, ale... kupiony.

Helfen und Heilen

Jeśli chodzi o malborskie „naj", to mamy do czynienia z największym na świecie (!) zamkiem ceglanym i największym na świecie zamkiem gotyckim. Była to najpotężniejsza twierdza średniowiecznej Europy. Sacrum zderza się tu z profanum – podziwiamy niesamowite gotyckie sklepienia, lichtarze, ołtarze i witraże (niestety dziewiętnastowieczne repliki, nie zachowały się witraże średniowieczne), ale trasa zwiedzania prowadzi także do kuchni – oraz wspaniale przemyślanego systemu ogrzewania budowli, a z kuchni... tak, do latryny. Zamkowe toalety profetycznie zostały zaprojektowane tak, aby spełniać unijne wymogi zeroemisyjności. Nieczystości trafiały bowiem bezpośrednio do przyzamkowej fosy, a zamiast papieru toaletowego używano... siana albo liści kapusty. Woda w fosie nie pochodziła z pobliskiej rzeki Nogat, ale ze znajdującego się nieopodal jeziora. Była doprowadzana do zamku systemami kanalizacyjnymi. Wodę pitną zakonnicy pobierali ze studni, do dziś stojącej na zamkowym dziedzińcu. Mimo imponujących rozmiarów zamku mieszkało w nim jedynie kilkudziesięciu (60–80) braci zakonnych – rycerzy. O wiele liczniejsza była służba, giermkowie, urzędnicy i rzemieślnicy – zaplecze logistyczne zamku obejmowało około 3000 osób. Krzyżacy byli zakonnikami składającymi śluby ubóstwa, posłuszeństwa i czystości, ich powołaniem była opieka nad chorymi i nad pielgrzymami, a także obrona wiary katolickiej i walka z poganami. Mimo iż wielu z nich zapewne żyło bogobojnie, w polskiej pamięci zbiorowej utrwalili ich – niezbyt dla nich korzystnie, za to chyba już na wieki – Henryk Sienkiewicz i Jan Matejko. I choć zakonne motto Krzyżaków stanowiły słowa: „Helfen und Heilen" (Pomagać i uzdrawiać), dla polskiego ucha brzmią one raczej jak „Heil Hitler" tudzież „Hände hoch". No cóż, nic nie poradzimy już chyba na tę zakodowaną genetycznie nieufność. Być może to właśnie jej zawdzięczamy nieco ironiczny fragment książki „Pan Samochodzik i templariusze", w której Zbigniew Nienacki pisze: „Krzyżacy bardzo dumni byli ze swej twierdzy. Porównywali ją z najpiękniejszymi miastami świata i z dumą twierdzili: Mediolan jest z marmuru, Buda z kamienia, a Marienburg, czyli Malbork, z błota".

Aby móc zwiedzić zamek bezpłatnie, trzeba się **trochę postarać**. Ale tylko trochę. Wystarczy bowiem być kawalerem Orderu Virtuti Militari i/lub Orderu Orła Białego.

Zamkowe toalety profetycznie zostały zaprojektowane tak, aby spełniać unijne wymogi **zeroemisyjności**.

eprasa.pl 33022f5d4b



GŁOS REGIONU

Rozmowy, których brakuje:
Anatomia zaszczucia, czyli kiedy praca staje się klatką

Paweł Wysocki, Region Jeleniogórski NSZZ „Solidarność”

Większość z nas przychodzi do pracy z prostym planem: wykonać swoje zadania, zarobić na życie i wrócić do domu. Mało kto jest przygotowany na to, że miejsce, które miało dawać stabilizację, powoli zamieni się w emocjonalną klatkę. Kiedy jako przewodniczący zamykam drzwi swojego biura, by wysłuchać pracownika, patrzę na człowieka, z którego krok po kroku, dzień po dniu, wysysana jest cała życiowa energia. Rozmawiamy o mobbingu – zjawisku, które nie bije fizycznie, ale potrafi całkowicie zdewastować ludzką psychikę.

Mobbing to proces niezwykle wyrafinowany pod względem psychologicznym. Nie zaczyna się od wielkiej awantury. Zaczyna się od mikrodawkowanego trucicielstwa: to westchnienie przełożonego na widok Twojego projektu, to ostentacyjne ignorowanie Twojego „dzień dobry”, to uśmieszki i szepty za Twoimi plecami, które milkną, gdy wchodzisz do pokoju. Kat rzadko działa w pojedynkę – najczęściej bawi się w psychologa, manipulując zespołem tak, by reszta grupy, ze strachu przed podobnym losem, odwróciła wzrok.

W psychice ofiary zachodzi wtedy potworna zmiana. Człowiek zaczyna chorować na tzw. wyuczoną bezsilność. Skoro każda Twoja próba obrony kończy się jeszcze większym atakiem lub drwiną, Twój mózg uznaje, że sytuacja jest bez wyjścia. Zaczynasz wierzyć, że wina leży po Twojej stronie. „Może naprawdę jestem beznadziejny? Może przesadzam?”. Poranny skurcz żołądka, bezsenność i lęk przed dźwiękiem powiadomienia w telefonie stają się codziennością. Człowiek zostaje sam ze swoim wstydem i poczuciem całkowitego upokorzenia, odcięty od wsparcia kolegów z biurka obok.

Naszym pierwszym, najważniejszym zadaniem psychologicznym jest przerwanie tej dusznej izolacji. Musimy przywrócić człowiekowi wiarę w to, że jego wersja wydarzeń jest prawdziwa, a jego godność ma nienaruszalną wartość.

Kiedy mobber dowiaduje się, że pracownik przestał milczeć i wszedł do biura Związku, jego poczucie bezkarności natychmiast pęka. Psychologiczny profil prześladowcy rzadko opiera się na prawdziwej sile – najczęściej to zwykły tchórz ukryty za stanowiskiem, który karmi się wyłącznie cudzym strachem. Gdy napotyka na twardą, zorganizowaną ścianę w postaci komisji zakładowej, jego władza nad ludzkim lękiem się kończy.

Prawdziwą siłę Związku mierzy się **odwagą do obrony człowieka** w jego najciemniejszym momencie.

Z tej psychologicznej walki płynie bolesny, ale konieczny morał dla nas wszystkich. Największym sojusznikiem mobbingu nie jest wcale zły szef, ale nasze własne, korytarzowe milczenie. Za każdym razem, gdy widzisz, że ktoś w Twoim zespole jest systematycznie niszczony, a Ty udajesz, że to Cię nie dotyczy, stajesz się współautorem tego dramatu.

Wyjdźmy wreszcie z roli niemych świadków. Jeśli zauważysz, że kolega z działu nagle zamilkł, przestał się uśmiechać i nosi w oczach permanentny lęk, nie czekaj, aż system go całkowicie złamie. Podejdź, zapytaj, przyprowadź do biura Solidarności. Pokażmy, że nasza organizacja to nie struktura na papierze, ale żywa społeczność, która odbudowuje zdeptane poczucie godności. Bo prawdziwą siłę Związku mierzy się odwagą do obrony człowieka w jego najciemniejszym momencie. Stańmy ramię w ramię, bez lęku i bez kompromisów.

Rubryka „Głos Regionu” ukazuje się cyklicznie w „TS”. Zapraszamy inne regiony NSZZ „Solidarność” do nadsyłania własnych propozycji.

eprasa.pl 33022f5d4b

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

150. dzień głodówki w SOLINO



Od 15 marca w inowrocławskim Solino grupa pracowników prowadzi protest głodowy. Głodówka ma charakter rotacyjny – pracownicy zmieniają się co kilka dni. Protestujący alarmują, że obecne złoża soli powoli się wyczerpują i z tego powodu należy zagospodarować trzy nowe wysady – Damasławek, Łanięta i Lubień. Postulują też, aby w przyszłości zbudować tam podziemne magazyny gazu, paliw płynnych, ropy naftowej czy wodoru.

Prowadzący głodówkę domagają się ponadto, aby Skarb Państwa przejął kontrolę nad strategicznymi aktywami przedsiębiorstwa Qemetica związanymi z produkcją sody, soli oraz budową i utrzymaniem systemów magazynowych.

W ubiegły wtorek minął 150. dzień protestu. Wtedy też zapytaliśmy przewodniczącego zakładowej Solidarności Jerzego Gawędę, czy protestujący skłaniają się do tego, by zakończyć swój protest. Jego odpowiedź była jednoznaczna – nie ma takiej możliwości.

– Wycofanie się z protestu oznacza otworzenie drogi do likwidacji Solino i całego kompleksu energetycznego. Na to naszej zgody być nie może. Protest jest nadal prowadzony. Mamy swoje cele do osiągnięcia. W tej chwili głodówkę w biurze Solidarności prowadzą dwie osoby. Akcja ma charakter rotacyjny – każdy protestuje do momentu, do którego wytrzymuje – odparł przewodniczący Solidarności w Solino.

– Zdajemy sobie sprawę, że gdybyśmy przyjęli klasyczną formę protestu głodowego, to po dwóch tygodniach wszystko by się skończyło, a nasze cele nie zostałyby osiągnięte. Dlatego pracownicy wybrali formę długofalowego protestu rotacyjnego, który trwa już od kilku miesięcy. Wykorzystujemy go, żeby informować na bieżąco opinię publiczną o naszych postulatach, a także, by wyjaśniać ludziom, jakie znaczenie ma Solino dla gospodarki i poszczególnych obywateli. Musimy z tego miejsca podziękować stronie rządowej, że wpisała się w nasz scenariusz, przetrzymując nasz protest, i przez to umożliwiła nam komunikowanie się ze społeczeństwem – oświadczył Jerzy Gawęda.

eprasa.pl 33022f5d4b


Fot. M. Zegliński

„Czemu i komu ma służyć ta ustawa? To pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Ona nie służy nikomu, nie spełnia niczyich oczekiwań, powoduje jeszcze większy zamęt”.

Maria Ochman, przewodnicząca KS Ochrony Zdrowia NSZZ „S”, o pakiecie zmian w ochronie zdrowia, Rynek Zdrowia, 8 sierpnia br.

„POWRÓT WICHRA”

Przewodniczący Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” Piotr Duda wraz z szefem Regionu Gdańskiego Krzysztofem Dośla uczestniczyli w zeszłą środę w chrzcie i nadaniu imienia nowej polskiej fregacie ORP „Wicher”. Nazwa jednostki pochodzi od pierwszego niszczyciela II Rzeczypospolitej, który wszedł do służby w 1930 roku i został zatopiony przez niemieckie lotnictwo na początku II wojny światowej. W uroczystości na terenie PGZ Stoczni Wojennej w Gdyni wzięli udział m.in. prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk.

Obok „Wichra” nasz kraj planuje pozyskać jeszcze dwie fregaty wielozadaniowe – „Burzę” i „Huragan”. Okręty powstają w partnerstwie z Wielką Brytanią w ramach programu „Miecznik”. Projekt ma zakończyć się do końca 2031 roku i kosztować ponad 15 mln zł.

PAKIET ZMIAN W OCHRONIE ZDROWIA

W siedzibie Ministerstwa Zdrowia odbyło się 6 sierpnia posiedzenie Trójstronnego Zespołu do spraw Ochrony Zdrowia, na którym rozmawiano o pakiecie zmian w ochronie zdrowia.

Ministerstwo zaproponowało między innymi ustalenie maksymalnego wynagrodzenia medyków. Stawka godzinowa miałaby wynieść do 240 zł brutto, a w wyjątkowych sytuacjach do 360 zł brutto. W wymiarze miesięcznym medyk nie mógłby natomiast zarabiać więcej niż 76,8 tys. złotych brutto – mowa tu o wynagrodzeniu finansowanym ze środków publicznych. Resort zdrowia postuluje także, aby medycy nie pracowali więcej niż 320 godzin miesięcznie, a więc tyle, ile wynoszą dwa pełne etaty.

– Zasiadam w zespole trójstronnym od ponad 20 lat, od jego powstania. Widziałam wiele ustaw, lepszych, gorszych, bardzo dobrych, nadających się od razu do kosza. Natomiast czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Sprzedaje się opinii publicznej, że coś się ogranicza, a faktycznie jest tak, że trzeba się bardzo napracować nad ustawą, by w efekcie wszystko pozostało tak, jak do tej pory – skomentowała posiedzenie Maria Ochman, przewodnicząca Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ „S”, w rozmowie z portalem Rynek Zdrowia.

Jej zdaniem nowa ustawa nikomu nie służy i nie spełnia niczyich oczekiwań, a powoduje jeszcze większy zamęt. W ocenie Marii Ochman jest to tylko „PR-owa zagrywka rządu, by próbować naprędce ugasić pożar po wybuchu afery z milionowymi zarobkami lekarzy”.

„JAK SIĘ WIERZY W MĄDROŚĆ NARODU, TO SIĘ GO PYTA O TO, CO MYŚLI”

Karol Nawrocki spotkał się w niedzielę, 9 sierpnia, z mieszkańcami Skawiny. W swoim przemówieniu prezydent odniósł się do niedawnej decyzji Senatu, który postanowił odrzucić wniosek o rozpisanie referendum w sprawie polityki klimatycznej UE.

Prezydent Nawrocki powiedział, że chciał w ten sposób „pomóc polskiemu rządowi, aby dać za sprawą referendum panu premierowi kartę przetargową w czasie negocjacji w Unii Europejskiej, żeby mógł podpierać się głosem narodu”.

– Jak wierzy się narodowi, jak się wierzy w mądrość narodu, to się go pyta o to, co myśli – czy chce płacić koszty polityki klimatycznej, czy nie chce ich płacić. Czy przedsiębiorcy mogą się rozwijać przy tych cenach prądu, czy nie mogą. Czy rzucimy koło ratunkowe Unii Europejskiej, która często w swojej ideologii idzie za daleko, choć chcemy być jej częścią, czy nie – mówiła głowa państwa, podkreślając, że naród chce mieć głos w sprawach samorządowych i w referendum, a „prezydent Polski jest głosem narodu polskiego”.

M.K.

Kalendarium Solidarności

23.08.1980 – nakładem Wolnej Drukarni Stoczni Gdańskiej ukazuje się pierwszy numer Strajkowego Biuletynu Informacyjnego „Solidarność”, fakt ten inspiruje Jerzego Janiszewskiego do stworzenia logo Solidarności.

20–22.08.1981 – w Gdańsku odbywa się I Przegląd Piosenki Prawdziwej;

22.08.1988 – w gdańskiej Stoczni im. Lenina trwa strajk, którym kieruje Alojzy Szablewski;

19.08.1989 – Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” wydaje uchwałę ws. ochrony nazwy i znaku graficznego „Solidarność”;

eprasa.pl 33022f5d4b

Układy zbiorowe
warunkiem przy zamówieniach publicznych



Fot. M. Żegliński

– Ponadzakładowy Układ Zbiorowy Pracy w przemyśle obronnym i lotniczym był jednym z nielicznych w naszym kraju, dlatego jesteśmy zwolennikami takich rozwiązań, które zastosowano w przypadku reformy Państwowej Inspekcji Pracy. Powinien być ustalony kamień milowy i jeżeli Polska chciałby otrzymać unijne pieniądze z programu SAFE, to powinna spełnić warunki dotyczące układów zbiorowych pracy – mówi **Grzegorz Pietrzykowski** w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

– Trzy miesiące temu pracodawcy wypowiedzieli Ponadzakładowy Układ Zbiorowy Pracy dla sektora przemysłu obronnego i lotniczego. Co to oznacza dla pracowników, którzy na co dzień zajmują się produkcją amunicji, materiałów wybuchowych, wyrzutni rakiet czy armatohaubic dla polskiej armii?

– Układ przestanie obowiązywać w listopadzie, bo teraz trwa półroczny okres wypowiedzenia. Jakie będą tego konsekwencje dla pracowników? Znikną na przykład przepisy mówiące o nagrodach jubileuszowych, odprawach emerytalnych czy dodatkowych dniach urlopu wynikających z charakteru produkcji. Znikną też dodatki do wynagrodzenia i świadczenia związane z pracą, ochroną warunków pracy i wiele innych. Warto dodać, że postanowienia układu, które stały się warunkami umów o pracę, obowiązują nadal po rozwiązaniu układu. Aby obniżyć pensje lub pogorszyć warunki pracy po wygaśnięciu układu, pracodawca musi wręczyć pracownikom indywidualne wypowiedzenia zmieniające. To skomplikowany proces, który będzie dotyczył tysięcy pracowników. Dlatego też wysłaliśmy pismo do Głównego Inspektoratu Pracy, żeby przyjrzał się temu tematowi i przejął nadzór nad całym tym przedsięwzięciem.

– Kontaktowaliście się z pracodawcami, by nakłonić ich do zmiany decyzji? Może dostaliście jakąś odpowiedź od Polskiej Grupy Zbrojeniowej?

– Napisaliśmy do pracodawców niedługo po wypowiedzeniu PUZP, ale nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Niebawem wyślemy jeszcze jedno pismo, w którym poinformujemy o wsparciu, jakie w tej sprawie otrzymaliśmy zza granicy. Naszym celem nie jest eskalacja, ale jeżeli przedsiębiorcy nadal nie będą chcieli rozmawiać, to niestety będziemy do tego zmuszeni. Teraz nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa Związku Pracodawców Przedsiębiorstw Przemysłu Obronnego i Lotniczego. Mamy więc do czynienia z zupełnie nową osobą i liczymy na to, że nowy prezes podejmie z nami dialog.

– A zwracaliście się zarówno o pomoc, jak i wyjaśnienia do Mi-

eprasa.pl 33022f5d4b

nisterstwa Aktywów Państwowych czy resortu pracy? Spółki objęte układem należą również do Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

– Tak, ale ministerstwa umywają ręce. Ministerstwo Aktywów Państwowych odpisało nam, że nie jest stroną układu i że w zasadzie nie widzi problemu. Natomiast Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej życzy nam jak najlepiej, ale też nam nie pomoże.

– Przeciwko wypowiedzeniu PUZP zaprotestowała europejska federacja związkowa industriAll Europe, która zwróciła się w tej sprawie do Komisji Europejskiej, a także wysłała pisma do europosłów. Są już jakieś efekty tej interwencji – czy to ze strony rządu, czy ze strony przedsiębiorców?

– Te interwencje zostały podjęte przez industriAll Europe na naszą prośbę. Federacja wyraziła stanowisko, z którym się w pełni zgadzamy, że pieniądze publiczne powinny być wydawane pod rygorem prowadzenia przez przedsiębiorców negocjacji zbiorowych i szczególnego traktowania praw pracowniczych. Na zbrojenia idą pieniądze publiczne, a część z nich pochodzi z unijnego programu SAFE, dlatego tym bardziej powinny one być obwarowane takimi wymogami. Na ten moment czekamy na efekty międzynarodowego wsparcia. Posiedzenie Komitetu ds. sektora obronnego zaplanowane jest na jesień, więc musimy poczekać do tego czasu.

– Rząd przyjął ustawę, która ma wspierać rozwój układów zbiorowych w Polsce – nowe przepisy obowiązują od grudnia. Widzicie, żeby od tego czasu coś zmieniło się na lepsze?

– Moim zdaniem zmieniło się na gorsze, bo układy zbiorowe w Polsce są wypowiadane. Ten Po-

Po wygaśnięciu PUZP **znikną** na przykład przepisy mówiące o nagrodach jubileuszowych, odprawach emerytalnych czy dodatkowych dniach urlopu wynikających z charakteru produkcji.

nadzakładowy Układ Zbiorowy Pracy w przemyśle obronnym i lotniczym był w ogóle jednym z nielicznych w naszym kraju, dlatego jesteśmy zwolennikami takich rozwiązań, które zastosowano w przypadku reformy Państwowej Inspekcji Pracy. Powinien być ustalony kamień milowy i jeżeli Polska chciałby otrzymać unijne pieniądze z programu SAFE, to powinna spełnić warunki dotyczące układów zbiorowych pracy. Jeżeli ich nie spełnia, to powinna być blokada i tyle. Nasz kraj jest na szarym końcu, jeśli chodzi o pokrycie układami zbiorowymi pracy, i państwo nie robi absolutnie nic, aby to zmienić. Wszystkie kraje Unii Europejskiej nas pod tym względem wyprzedziły.

Rząd powinien wspierać negocjacje zbiorowe, a tymczasem – jak mówiłem wcześniej – ministerstwa umywają ręce i mówią nam: „Dogadajcie się sami z pracodawcami". Tak być nie może.

Nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa Związku Pracodawców Przedsiębiorstw Przemysłu Obronnego i Lotniczego, więc liczymy na to, że nowa osoba **podejmie z nami dialog**.

– Z racji tego, że jest Pan także przewodniczącym Sekcji Motoryzacji NSZZ „S", chciałbym zapytać również o ten sektor. Coraz częściej widujemy na polskich drogach chińskie marki samochodów. To znak, że niedługo czekają nas masowe zwolnienia w zakładach motoryzacyjnych na terenie Polski?

– Na terenie naszego kraju mamy przede wszystkim fabryki samochodów dostawczych. Osobówek produkujemy mniej. Czy czekają nas zwolnienia? Tak nagle do tego nie dojdzie, ale statystyki nie wróżą nic dobrego. Jeszcze dwa lata temu chińskie samochody stanowiły jakieś 2–3 procent sprzedawanych w Polsce aut. W zeszłym roku było to 8 procent, a w tym roku wszystko wskazuje na to, że będzie to aż 16 procent. Rynek jest dynamiczny, a jakość tych chińskich samochodów wydaje się dla konsumentów wystarczająca.

Z tego powodu na poziomie unijnym powstają regulacje, które mają temu zaradzić. Mówię tu o zaprezentowanym w tym roku przez Komisję Europejską akcie w sprawie przyspieszenia rozwoju przemysłu

eprasa.pl 33022f5d4b

(Industrial Accelerator Act), który ma sprawić, że więcej produktów będzie „made in Europe". W przypadku samochodów, szczególnie tych kupowanych przez instytucje publiczne bądź też przy wsparciu środków publicznych, Komisja zaproponowała, żeby takie auta były produkowane w większości z komponentów pochodzących z UE. Mowa jest o progu wynoszącym co najmniej 70 procent. Ale to może nie wystarczyć, bo nie zapominajmy, że Chiny otwierają fabryki również w Europie – na Węgrzech czy w Hiszpanii. W dłuższej perspektywie faktycznie jest się czym martwić.

– A czy Pana zdaniem elektromobilność to przyszłość? Polska planuje niedługo zbudować własnego elektryka we współpracy z Tajwańczykami. Trzyma Pan kciuki za ten projekt?

– Gdy kilka lat temu przechodziłem przez korytarze ministerstwa i pytałem o „polskie electromobility", to wszyscy pukali się w głowę. Życzę oczywiście temu projektowi jak najlepiej, ale jeśli to ma się udać, to przecież nie wystarczy, że auto będzie miało polską markę. Liczy się przede wszystkim sprzedaż, a na rynku jest obecnie duża konkurencja, jest nadprodukcyjność, fabryki mają dużo wolnych mocy przerobowych. Jestem więc sceptyczny.

Moim zdaniem koncepcja polskiego samochodu elektrycznego to bardziej polityczny PR, a nie realne działanie. Electromobility najpierw ogłosił rząd Mateusza Morawieckiego, ale nic się z tym nie działo przez wiele lat. Teraz to samo zrobił Donald Tusk i też nie widać żadnych efektów. Ten temat wałkowany jest od co najmniej 10–15 lat, jak nie dłużej, i dzisiaj nie mamy nic poza wyciętym lasem pod fabrykę w Jaworznie.

– Skoro mowa o bezemisyjnym transporcie, to Senat po raz kolejny odrzucił prezydencki wniosek o przeprowadzenie referendum w sprawie unijnej polityki klimatycznej. Uważa Pan, że gdyby kiedyś doszło do takiego głosowania, to Polacy byliby „za" Zielonym Ładem czy „przeciw" niemu?

– Polacy byliby „przeciw", bo obostrzenia wynikające z polityki Zielonego Ładu biją bezpośrednio po kieszeniach obywateli. System ETS2 spowoduje wzrost cen paliw, a w budownictwie wzrost kosztów ogrzewania – praktycznie w każdej dziedzinie życia ceny pójdą w górę. W referendum ludzie na pewno opowiedzieliby się jednoznacznie za odrzuceniem tego rodzaju rozwiązań i dlatego rząd robi, co może, aby do tego nie dopuścić i nie narazić się rządom tych krajów, które lansowały ten projekt, a dziś wspierają rządy Tuska. One doskonale wiedzą, jaki byłby wynik głosowania.

Ministerstwo Aktywów Państwowych odpisało nam, że nie jest stroną układu i że w zasadzie **nie widzi problemu**. Natomiast resort pracy życzy nam jak najlepiej, ale też nam nie pomoże.

Grzegorz Pietrzykowski – przewodniczący Krajowego Sekretariatu Metalowców NSZZ „Solidarność", szef Krajowej Sekcji Przemysłu Motoryzacyjnego NSZZ „S", członek Komitetu Wykonawczego industriAll Europe.

KOŁTUN MICHALSKI



eprasa.pl 33022f5d4b

PRAWO

20 LAT PRACY „NA CZARNO”.
Czy po latach można jeszcze dochodzić swoich praw?

W moim środowisku nie jestem odosobniona. Jak wiele osób z małej miejscowości przez niemal 20 lat pracowałam w niewielkiej lokalnej firmie bez umowy o pracę. Codziennie przychodziłam do pracy, wykonywałam polecenia szefa i otrzymywałam wynagrodzenie „do ręki”. Zdarzało się też, że korzystałam z urlopu. Po zakończeniu współpracy usłyszałam jednak, że skoro nie miałam umowy, **nic mi się nie należy**. Czy to oznacza, że nie mogę dochodzić żadnych roszczeń od byłego pracodawcy?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Brak pisemnej umowy o pracę nie oznacza, że stosunek pracy nie istniał. Zgodnie z art. 22 Kodeksu pracy o tym, czy strony łączył stosunek pracy, decyduje przede wszystkim sposób wykonywania obowiązków, a nie nazwa umowy lub jej brak. Jeżeli pracownik wykonywał pracę osobiście, w określonym miejscu i czasie, pod kierownictwem pracodawcy oraz za wynagrodzeniem, istnieją podstawy do uznania, że strony pozostawały w stosunku pracy. W takiej sytuacji sąd pracy może ustalić istnienie stosunku pracy, nawet jeśli pracodawca nigdy nie podpisał z pracownikiem umowy.

Nie oznacza to jednak, że po wielu latach będzie można dochodzić wszystkich roszczeń. Wiele z nich ulega bowiem przedawnieniu. Roszczenia ze stosunku pracy, takie jak niewypłacone wynagrodzenie, ekwiwalent za urlop czy dodatki za godziny nadliczbowe, co do zasady przedawniają się z upływem trzech lat od dnia, w którym stały się wymagalne. Upływ czasu ma więc ogromne znaczenie. Nie oznacza to jednak, że każda sprawa jest z góry przegrana. W praktyce zdarzają się sytuacje, w których możliwe jest dochodzenie ustalenia istnienia stosunku pracy albo wykazanie okresów zatrudnienia na potrzeby świadczeń emerytalnych czy rentowych. Każdy przypadek wymaga indywidualnej analizy. W takiej sprawie kluczowe znaczenie mają dowody. Pomocne mogą być zeznania współpracowników, korespondencja z pracodawcą, wiadomości SMS, e-maile, listy obecności, grafiki pracy, potwierdzenia wypłat, zdjęcia z miejsca pracy czy dokumenty potwierdzające wykonywanie obowiązków służbowych. Im więcej takich dowodów uda się zgromadzić, tym większa szansa na wykazanie, że praca była rzeczywiście wykonywana. Warto pamiętać, że pracodawca ma obowiązek potwierdzić pracownikowi na piśmie (lub elektronicznie) ustalenia dotyczące stron umowy, jej rodzaju oraz warunków przed dopuszczeniem pracownika do pracy. Zatrudnianie „na czarno” narusza przepisy prawa pracy i może skutkować odpowiedzialnością pracodawcy przed organami państwa, niezależnie od roszczeń samego pracownika. Najczęstszym błędem jest rezygnacja z dochodzenia swoich praw wyłącznie dlatego, że nigdy nie podpisano umowy. Równie niebezpieczne jest jednak zbyt długie zwlekanie z podjęciem działań, ponieważ z biegiem czasu trudniej zgromadzić dowody, a wiele roszczeń ulega przedawnieniu.

O czym warto pamiętać? Jeżeli przez lata wykonywaliśmy pracę jak etatowy pracownik, nie należy zakładać, że brak umowy przekreśla wszelkie prawa. O tym, czy istniał stosunek pracy, decydują przede wszystkim fakty. W wielu przypadkach to właśnie one mają dla sądu większe znaczenie niż dokument, którego pracodawca nigdy nie chciał podpisać. S

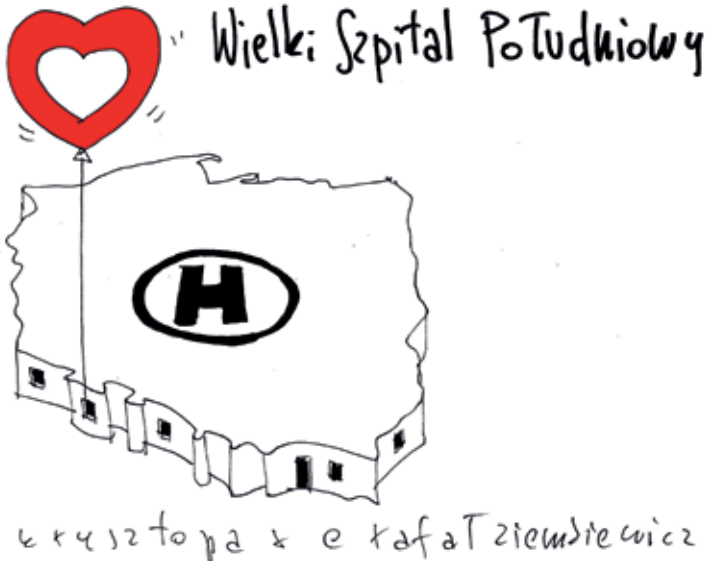
PYTANIA DO EKSPERTA

Pytania do naszego eksperta prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 33022f5d4b

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA



Nasi autorzy

Krzysztof Karnkowski (Bunt..., s. 6),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Zdzisław Krasnodębski (Weimar..., s. 36),
jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Piotr Łopuszański (Mistrz..., s. 52),
pisarz i publicysta. Autor książek z literatury faktu i biografii. Współpracuje z „TS" od ponad 20 lat.

Monika Małkowska (Legenda..., s. 16),
jest krytyczką sztuki, projektantką mody, dziennikarką i publicystką kulturalną. W przeszłości związana m.in. z „Rzeczpospolitą", radiową Trójką i PR24, Tok FM czy TVP Kultura. W 2014 wywołała burzę tekstem „Mafia bardzo kulturalna", w którym obnażyła szereg patologicznych zjawisk i układów rządzących polskim życiem artystycznym.

Remigiusz Okraska (Rząd..., s. 5),
publicysta i działacz społeczny. Współtwórca i redaktor naczelny pisma „Nowy Obywatel". Jego felietony ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od 2024 roku.

Szczepan Ruman (Konstytucja, s. 22),
jest przewodniczącym zespołu ekspertów ds. energetyki i bezpieczeństwa Polskiego Towarzystwa Gospodarczego. Ukończył studia menedżerskie w szkołach biznesu w Barcelonie (IESE) i na Uniwersytecie Pensylwanii. Był prezesem Świętokrzyskiej Grupy Przemysłowej Industria. Współautor audycji „Klub Przyjaciół Metali Ziem Rzadkich" w Radiu Wnet.

PRENUMERATA NA 2026 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) bezpośrednio w redakcji „TS":
ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa, tel. 22 882 27 80,
e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com,
numer konta: mBank 44 1140 1065 0000 7461 0100 1001.
Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **Tysol.pl** (w zakładce „Prenumerata").

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- II kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 257,40 zł (od nr. 1 do 26)**
- III kwartał – 128,70 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 118,80 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 247,50 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 504,90 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na:
www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 33022f5d4b

SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

My mamy wspólne wartości,

a Wy?



rasa.pl 33022f5d4b

„PÓKI CZAS"

ANTONINA KRZYSZTOŃ

W SALI BHP

22. SIERPNIA, GODZ. 19.00

ZAPRASZAMY NA WYJĄTKOWY KONCERT
W 45. ROCZNICĘ I FESTIWALU PIOSENKI
PRAWDZIWEJ „ZAKAZANE PIOSENKI"

SALA BHP STOCZNI GDAŃSKIEJ,
UL. KS. JERZEGO POPIEŁUSZKI 6

BILETY KUPISZ NA **BILETYNA.PL**

PATRON HONOROWY
NSZZ Solidarność

ORGANIZATORZY
Fundacja Promocji Solidarności
SALA BHP

PATRONI MEDIALNI
TYGODNIK Solidarność
tysol.pl

eprasa.pl 33022f5d4b